

DZIŚ I JUTRO

NR. 3. MIESIĘCZNIK DLA MŁODZIEŻY ROK XII.

Skorowidz alfabetyczny placówek SS. Urszulanek w Polsce.

Zgromadzenie S.S. Urszulanek.

Częstochowa ul. 3-go Maja 4. Dom wycieczkowy i dom rekolekcyjny dla pań.

Charbin. — Mandżurja — 2 domy misyjne.

Gdynia ul. Pomorska 41. Gimnazjum, szkoła powszechna i pensjonat dla niewielkiej liczby uczennic. Latem przyjmuje się wycieczki i gości za poprzedniem zgłoszeniem. — Rok założenia 1931.

Kołomyja Gimnazjum, szkoła powszechna i pensjonat Rok założenia 1899.

Kościerzyna. Zakład N. Marji Panny Anielskiej Gimnazjum, szkoła powsz., pensjonat.

Kraków Starowiślna 9. Zgromadzenie przeniesione z Poznania 1875. Obecnie szk. powsz., gimn. pensj., internat dla akademiczek.

Kraków Starowiślna 11. Zarząd Generalny S.S. Urszulanek polskich. Tu się koncentruje założone r. 1931. Tow. św. Anieli dla osób w świecie żyjących.

Koszyce Małe Folw. i letnisko pod Tarnowem.

Lublin, Narutowicza 8—10. — Od 1917 r. — Gimnazjum, szkoła powszechna. Pensjonat.

Pokrzywno p. Krzesiny pod Poznaniem. Istnieje od 1922 r. Dom Nowicjatu dla całej Polski — Szkoła powszechna i pensjonat dla małej grupy dzieci, które potrzebują specjalnie higienicznych warunków i troskliwej opieki.

Poznań, Sporna 6. Rok założenia: 1857. Po raz drugi — od 1919 gimnazjum, szkoła powszechna, Internat dla Studentek — ul. Chełmońskiego 21. — Szkoła pielęgniarek. Internat.

Rokiciny pocz. Chabówka niedaleko Rabki — Dom Wypoczynkowy cały rok otwarty dla Pań, panien i dziewczynek. W roku szkolnym prowadzona jest systematycznie nauka w zakresie szkoły powszechnej, a w Rabce jest możność zdawania egzaminów z końcem roku.

Rybnik ul. 3-go Maja Semin. Gospodarcze, Szkoła Zawodowa, gimn., szkoła powszechna, przedszkole, pensjonat — Założone w 1925 roku.

Stanisławów Gimn., szkoła powszechna, pensjonat. — Rok założenia 1907.

Siercza. Letnisko — folwark, miejsce wycieczkowe pod Krakowem.

Tarnów, ul Marszałka Focha. Gimn., szkoła powszechna, przedszkole, pensjonat. Zgromadzenie przeniesione w czasie Kulturkampfu z Gniezna.

Włocławek, Plac Kopernika 4. Przyjęte Tow. Oświata i Wychowanie w r. 1931. Gimnazjum, szkoła powszechna, przedszkole, pensjonat.

Zakopane na Antałówce. Dwie wille dla chorych Sióstr, oraz krewnych i znajomych pań.

Kongregacja S. S. Urszulanek Serca Jezusa Konającego.

Czarny Bór pod Wilnem. — Kursy gospodarstwa domowego.

Horodec pod Kobryniem — Przedszkole i pracownia dla dziewcząt.

Komorniki pod Wieluniem. Dom wychowawczy dla biednych dzieci. Kursy szycia.

Lubocześnica pocz. Pniewy, woj. Poznańskie — Dom Macierzysty — Zakład św. Olafa, Sem. gospod. domowego.

Łęczyca — Bursa i księgarnia.

Łódź — Katechizacja w szkołach powszechnych, cztery przedszkola, 2 kuchnie dla bezrob., Sierociniec, Sanatorjum dla dzieci do lat 10.

Ołtarzew pod Warszawą

Otorowo — Zakład wychow.-naukowy, szkoła powszechna.

Ozorków. Szkoła powszechna.

Poznań (Skarbowa 7) — Bursa dla dziewcząt.

Równe — 2 Przedszkola — Zakład wychow.

Sieradz — 3 Przedszkola, bursa, kursa haftu, szycia i trykotarstwa.

Warszawa (Gęsta 1), — Bursa dla Akademiczek (Sienna 87.) Przedszkole i szkoła pow.

Wilno — Bursa dla uczenic szkół średn.

Zakopane. Mały pensjonat.

Rzym — via Regina Giovanna 23. — Międzynarodowy internat dla studentek. Via Boccea 34 — Kuchnia dla bezrobotnych. — Borgata Prima wale ambulatorjum, przedszkole, nauka szycia. — Via Cavour 13 — Praca misyjna. Ucel (Ardeche — Francja) — Bursa dla nieletnich pracownic polskich.

Opis fotografij na str. 54 i 55.

1) Życie w szkołach Urszulańskich:

1) Sztandar gimnazjum stanisławowskiego 2) Lekcja szycia w szkole zawodowej w Rybniku. 3) Czytelnia w Stanisławowie 4) Bieliźniarstwo w Sem. Gospod. w Rybniku. 5) W klasie gimn. w Stanisławowie. 6) Pensjonarki na tarasie w Krakowie. 7) Lekcja fizyki w Poznaniu. 8) Wystawa książek pedagogicznych w Krakowie. 9) Przed szkołą w Stanisławowie 10) Misja w Chinach (Harbin). 11) Lekcja rytmiki w Krakowie. 12) Salka jadalna pensjonarek w Krakowie. 13) Ochronka w Sierczy pod Krakowem. 14) Seminarjum Gospodarcze. 15) Lekcja gotowania. 16) Czytelnia. 17) Lekcja kroju i szycia w Szkole Zawodowej (Nr. 14, 15, 16 i 17 w Rybniku).

2) Sport i wycieczki ucz. Urszulańskich:

1) W Częstochowie uczennice z Włocławka. 2) Obchody w dniu 19 marca 1934 r. w Gdyni. 3) Wycieczka nad nasze morze. 4) Przy autobusie na wycieczce. 5) Na nartach w Sierczy. 6) Lekcja gimnastyki na boisku w Krakowie. 7) Uczennice z Włocławka w lasach Szwajcarji Kaszubskiej. 8) Nad Prutem. 9) Gimnastyka przed lekcjami. 10) Ślizgawka. (Nr. 8, 9 i 10. w Kołomyji). 11) Na Bielanach pod Krakowem. 12) Na Sowińcu. 13) Harcerska kuchnia na obozie w Wojtalu. 14) Na jeziorze Wdzydzkiem. 15) Nad Krzywą Wodą w drodze na Babią Górę. 16) Na „Emausie". 17) Wycieczka w Rokicinach. (Nr. 11-18 Uczennice gimn. w Krakowie). 18) Wywczasy z Mamą w Rokicinach. 19) Wymarzona wycieczka na Luboń w Rokicinach.

Dziś i Jutro

pismo dla młodzieży

Kraków.

Rok XII. Kraków, listopad 1935 Nr. 3

NIEPODLEGŁOŚĆ.

To jedno słowo jak wiele nam mówi.

O zrealizowaniu tej śmiałej koncepcji marzyły pokolenia wyrosłe w niewoli.

Dla niej przelewali swą hardą krew powstańcy z roku 1830 i 1863.

Dla tej idei na frontach w wszechświatowej wojnie z tętnic polskich żołnierzy krew ściekała na wszystkich krańcach naszego kraju.

Emigracja, ten kwiat ducha, intelektu i geniusza narodu całem natężeniem ducha i czynu konspiracyjnego dążyła do uzyskania niepodległości.

To jedno pragnienie odzyskania Polski tliło się jak iskra zasypana popiołem w sercach narodu rozćwiartowanego rozbiorami.

Pokolenie wzrosłe w huku armat wojennych zdawało się słyszeć w szczęku broni jedno słowo »Niepodległość«.

— — — — — — — — —

Przeżywamy 17-tą rocznicę odzyskania Niepodległości.

Radosne dotąd obchody stolicy w tym roku zleją się z nastrojem listopadowym, który nam każe pamiętać o duszach tych, którzy nam wolność wywalczyli i legli na wieczny spoczynek.

W dniu 11-go listopada po świątyniach naszych odprawione nabożeństwa dziękczynne za odzyskanie Niepodległości zawierać będą jedną modlitwę więcej, w jednym tonie bolesnym złączą się dźwięki organów — jeden szept modlitewno-ubłagalny, inny niż dotąd, wzniesie się do sfer podniebnych. Błagać Boga będziemy o hojną, przeobfitą, wieczną nagrodę, taką jaką Sam Bóg dać może, Temu, który dla dobra sprawy Niepodległości uczynił tyle, uczynił wszystko co po ludzku sądząc człowiek mógł uczynić.

Najpewniej tą modlitwą spłacimy choć częściowo nasz dług wdzięczności dla historycznej postaci Pierwszego Marszałka Polski ś. p. Józefa Piłsudskiego.

O pamiętnym dniu powrotu Marszałka do stolicy z więzienia w Magdeburgu pozwalamy sobie dosłownie przytoczyć jego słowa...[1])

»W listopadzie 1918 roku stał się wypadek bynajmniej nie historyczny, ale taki sobie zwykły.

Mianowicie — z dworca wiedeńskiego, jak się to zawsze ze wszystkimi dzieje, przeszedł przez ul. Marszałkowską, i t. d. na ulicę Moniuszki człowiek, którego będziemy nazywali Józefem Piłsudskim. Szedł w tym mundurze, w jakim obecnie mnie panowie widzicie. — Wracał, coprawda, z niezupeł-

[1]) Z przemówienia w Bristolu dn. 5 lipca 1923 roku Tom VI. Str. 40-55.

nie zwykłej podróży, wracał z Magdeburga. Wracali też w tym czasie z tych czy innych obozów dla internowanych i inni. I w tem też niema nic niezwykłego, nic historycznego. Historja zaczyna się później, historja niezwykła, nad którą nieraz się zastanawiałem w ciągu tych pięciu lat i szukałem odpowiedzi na pytania, które przypuszczam, przyszłych historyków będą męczyły jeszcze bardziej wobec tego, że nie będą mieli naocznych świadków tych zdarzeń. Stała się rzecz niesłychana... mianowicie, w przeciągu kilku dni, bez żadnych ze strony tego człowieka starań, — człowiek ten stał się dyktatorem.. Skąd to zjawisko?...

Zastanawiałem się nad tem, jak się dyktatury tworzyły — Zwykłe drogi są tu dwie — jedna gwałtu i narzucenia swojej władzy — te wypadki w historji narodów są częste, druga — swobodnego wyboru, wyboru ludzi, którzy w chwili ciężkiej; gdy najbardziej potrzeba woli indywidualnej, gdy umysły są zatrwożone, szukają jednego człowieka, żeby jemu los swój w ręce oddać! Tu nie było ani jednego ani drugiego wypadku... Stał się fakt moralnej pracy narodu. Ten fakt moralnej pracy, której dokonał w tym czasie naród, nie jest moją historją, jest historją wszystkich tych miljonów ludzi, którzy wtedy tego dyktatora słuchali... Dyktatorem byłem kilka miesięcy...

Decyzją moją,... postanowiłem zwołanie sejmu, oddanie władzy mojej w jego ręce i stworzenie legalnej formy życia państwa polskiego... W parę tygodni potem stał się nowy fakt historyczny, nowy akt wybrania mnie jednogłośnie w sejmie na Naczelnika Państwa Polskiego i Naczelnego Wodza Wojsk, znajdujących się w tym czasie w Polsce. — Ten fakt również rozbudził we mnie zastanowienie. Z jednych zaszczytów szedłem do drugich...«

ŻYWI UMARŁYM.

Minęły czasy, gdy z mogił tylko biło na Polskę źródło siły, wytrwania i nadziei.

Odwaliliśmy kamień grobowy — wyszliśmy z katakumb na słońce. Skończyła się podziemna robota zwyciężonych; zaświtał pracowity dzień ludzi wolnych i radosnych. Nie wstecz się nam dziś oglądać, ale naprzód iść z ramionami, wyciągniętemi ku słońcu Jutra.

W tym zdobywczym pochodzie nie wolno nam jednak deptać po grobach, w których spoczywają prochy myśli, zetlonej w poszukiwaniu prawdy, uczuć, przepalonych w ogniu szlachetnego zapału.

Nierozerwalne i święte są węzły, które nas łączą z przeszłością. Ogniwem tylko jesteśmy w długim łańcuchu zjawisk. Liśćmi dziś jesteśmy i kwiatami na drzewie, którego oni, ci, co odeszli, korzeniami są i pniem dostojnym. I my podlegamy powszechnemu prawu rozwoju i przemiany. I nas kiedyś wicher jesienny, jako jabłka dostałe, z drzewa życia strząśnie. Baczmy, abyśmy nie padli na ziemię cmentarną, jako owoc zgniły i robaczywy, abyśmy jej nie zasłali piaskiem jałowym, ale żyzną próchnicą pod zagaje przyszłych pokoleń.

Światła, co się dziś po cmentarzach palą, są nietylko dowodem pamięci żywych: one są odblaskiem tego żaru, który płonie w mogiłach umarłych. Śmierć zasklepiła ich rany serdeczne, ukoiła nienasycone za życia pragnienie; dała odpowiedź na wszystkie pytania, zmazała winy, rozwiązała pęta, naprawiła ich błędy. Nam, potomnym, zostawiła drogocenną spuściznę: w ogniach nieśmiertelności, oczyszczony dorobek umarłych.

Otwórzmy dziś serca nasze na przyjęcie tego świetlanego skarbu. Dajmy posłuch prawdzie.

Uprzytomnijmy sobie, że nie fanatyzm, ale wielka miłość ojczyzny zrodziła proroctwa Skargi; że nie dworskie ambicje i miłostki, ale ból rodzicielski unieśmiertelniły Kochanowskiego; że nie zjadliwość, ale szlachetne oburzenie i dziejowa mądrość Naruszewicza, nie rewolucyjna zaciekłość, ale rozum polityczny Kołłątaja, nie demagogja, ale czystość

intencji i myślowa głębia Mochnackiego; nie młodzieńcza lekkomyślność, ale rycerski honor księcia Józefa; nie mistyczny obłęd, ale miłość i wiara Mickiewicza naznaczyły ich czoła niestartym stygmatem zasługi, bohaterstwa, czy genjuszu i wprowadziły ich do panteonu wielkich duchów świata, przodowników idei, nauczycieli ludzkości.

Nie każdemu z nas danem będzie osiągnąć te wyżyny, na których oni stanęli, ale każdemu z nas mogą i powinny przyświecać te same gwiazdy czystości myśli, bezinteresowności uczuć, prawości czynów, które dziś na ich grobach się palą.

Wanda Romiszewska.

CHORĄGWIE ŁOPOCĄ.

Przez okno widać miasto,
chorągwie na wietrze łopocą,
ulicą płynie śpiew i gwar.
Siwa się głowa na parapet okna kłoni,
zmęczone oczy przesłonięte łzą.
Z przestrzeni wysuwają się mary, setki mar,
serce tętni krwią, a pamięć płonie jasno.
Na ulicach chorągwie na wietrze łopocą.
— Matko, ty płaczesz? Tyle już przecież lat
przegradza tamtą chwilę!
Pomyśl, niema już woni
bitewnych szlaków wśród zniszczonych pól.
Teraz jest jeno radość i dzieła naszych rąk i mózgów,
co głoszą wszystkim moc i pokrzepienie.
A dla mnie, synu, zawsze ból.
Przyszedł raz list z dalekiej drogi,
wiedziałam już, żeś ty, mój synu... padł
tam u rozstajnych dróg.
— Na mogile mojej rosną polne głogi ,
cichą pieśń im śpiewa wiatru tchnienie.
O wolności naszej cicho śpiewa,
matko, o wolności śpiewa!
— Wiem, synku, wiem. Niech Bóg
wybaczy matce starej te łzy!
Na mogile twojej rosną głogi,
wiatr im śpiewa o wolności pieśń,
o wolności szumią nasze drzewa,
a serce matki płacze.
Matuniu, a gdyby pójść trzeba było
jeszcze raz jeden, czy ty...
Cicho, syneczku, cicho, z rozpaczy
chybabym gryzła moje stare pięści,
lecz tak, jak wtedy, pamiętasz,
gdyś przyszedł do mnie w tym szarym mundurze,
taki młodziutki jeszcze, dziecko prawie,
puściłabym cię w bój o Polskę.
I znów chodziłabym na cmentarz .
I znów płakałabym nad twą mogiłą.
A teraz matuś, patrz tam wgórze
na wietrze polskie chorągwie łopocą
i głoszą światu pieśń o naszej sławie .
— Tak, synku, nasze chorągwie łopocą.

Jadwiga Bilwin.

W historyczną noc 29 listopada 1830 r.

Na długo przed ową nocą, trwożył Moskali powiew buntu, płynący od ciemiężonej stolicy. Niby zrazu nic ważnego: jakieś tajne pisemko, świstek płomiennej odezwy, szydercza kartka przez nieznanego figlarza na bramie Belwederu nalepiona, oznajmująca, że »mieszkanie« to jest do wynajęcia... Wystarczyło to jednak, że czmychnęli z Warszawy: Nowosilcow, znienawidzony cenzor Szaniawski i wielu innych.

W mrocznej cichości rósł pomruk burzy. Aż wreszcie naszeptany w naradach tajemnych wytrysł dzień wybuchu — dzień 29 listopada Ustalono, że ruch powstańczy rozpocznie się napadem na Belweder.

Niebo ołowiane i pochmurne wisiało tego dnia niemal na czubach drzew łazienkowskiego parku. Wcześnie zapadły gęsty mrok ukrył spiskowców, skradających się trzema różnemi drogami pod pomnik króla Jana

wicher, miotający suchemi konarami drzew zgłuszył przed strażą kroki i szczęk broni. Przybyli Nabielak, Goszczyński, Trzaska, i Niemojowski, za nimi inni.

Z oczami utkwionemi w niebo, czekają hasła ruszenia. Ma niem być łuna pożaru browaru na Solcu, a odpowiedzieć jej ma łuna od strony Nowolipia, gdzie podpali się koszary gwardji Wołyńskiej.

Garstkę śmiałków miesza pożar przedwczesny na Solcu. Z pobliskich koszar rozlega się alarm na trwogę. Błyskają światła między drzewami parku; we wszystkie strony biegną warty... Powstańcy rozpraszają się i kryją wśród drzew. Ale gdy ruch ucicha, gromadzą się znowu. Czujność nieprzyjaciela jest już obudzona, nie wiedzą, co dalej robić...

Upływa długa, jak wieczność godzina, załamuje się pierwszy najgorętszy poryw odwagi, przychodzi refleksja, niepewność i trwoga niejasna, jak przed skokiem w otchłań. Wreszcie, z mroku nadchodzą Nabielak i Goszczyński, którzy wyszli byli na zwiady. Spotkali właśnie Wysockiego i dowiedzieli się, że fatalny zbieg wypadków nie pozwolił rozniecić jednocześnie dwóch umówionych pożarów; trzeba jednak zaczynać natychmiast.

Gdy chodzi o czyn, gdy skończyła się już męka czekania w niepewności, napływa odwaga. Nabija się karabiny, oddział dzieli się na dwie części. Jedna ma napaść Belweder od frontu, druga — pilnować tyłów pałacu, by przyłapać Konstantego, gdyby »ptaszek chciał wylecieć do ogrodu«.

W cichy dziedziniec pałacowy wlewa się nagle okrzyk piorunowy »Śmierć tyranowi«. Drzwi wywalone kolbami wylatują z zawias, pryskają szyby, garstka zbrojnych wpada do pałacu. Spotyka ich głuche milczenie. Żadnego oporu. W pokojach niema żywej duszy. Dopiero przed sypialnią księżnej Joanny natykają się na wielkiego, przerażonego mężczyznę, który trzęsie się ze strachu, przyczajony za drzwiami. To prezydent Lubowidzki. Chciał właśnie uwiadomić księcia o wybuchu rewolucji. Pchnięty paru bagnetami, pada zalany krwią.

Księcia, który nieprzytomny ze strachu, ukrył się w komnatach niewieścich, nie znajdują powstańcy. Natomiast w ciemnościach przeszywają bagnetem generała Gendre'a, biorąc go za uciekającego księcia.

Po chwili wypada już młodzież z Belwederu i biegnąc przez ogród Botaniczny łączy się z podchorążymi, których przywiódł Wysocki. Wtargnął on do szkoły, gdzie właśnie odbywała się lekcja teorji i dobywając szpady zawołał:

»Polacy, godzina zemsty wybiła, dzisiaj zwyciężymy, albo polegniemy — nastawmy piersi naszym wrogom, aby były dla nich Termopilami«.

Odpowiedział mu okrzyk:

»Do broni, do broni«.

Podchorążych było stu sześćdziesięciu. »Każdy z nich — pisze Mochnacki — znał komendę brygady i dywizji, jak jenerał, a robił bronią, jak szermierz. Zręczniejszych tyraljerów, celniejszych strzelców, prawie żadne wojsko nie miało. Teraz szli się odpłacać Moskalowi za długą naukę na Saskim Placu. Na czele tej kolumny uczonych atletów postępował Wysocki, wprost do koszar trzech pułków jazdy nieprzyjacielskiej... Podchorążowie skoczyli zaraz w środek koszar ułanów cesarzewicza; już ich trzechset zastali na koniach w szyku do »szarży«. Posypały się z bliska strzały. Moskale w popłochu uciekli, sądząc w ciemnościach, że napadło ich conajmniej parę tysięcy piechoty.

Ale wyrzucenie nieprzyjaciela z koszar było dopiero pierwszym krokiem. Teraz należało przedrzeć się do miasta, dokąd prowadziły dwie drogi: jedna przez główną aleję, druga do t. zw. »Wiejskiej kawy«. Nie zwlekając, rzucają się w obu kierunkach podchorążowie, bagnetami torując sobie tu i tam drogę. Rozsypują się i gromadzą obyczajem tyraljerskim, strzelają z rowów, z poza drzew, nacierają wreszcie na wroga pierś w pierś, aż wymiatają drogę z Moskali. Zwartym szykiem biegną więc w miasto.

Kroki podchorążych rozbrzmiewają wśród zupełnej ciszy. Miasto jest głuche, jakby wymarłe. Z trzaskiem pozamykano sklepy i domy. Latarnie pogasły. »Tylko rzemieślnicy — opisuje Mochnacki — krawcy, szewcy, kowale, ślusarze odrazu o co rzecz idzie zrozumieli. Na Starem Mieście, na tym samym klasycznym bruku, gdzie za Kościuszki tylu zdrajców wisiało, oczekuje się sygnału do

działania z tą samą niecierpliwością, która dręczyła spiskowych na wszystkich innych punktach stolicy. Ale do Starego Miasta jeszcze daleko. Tymczasem na Nowym Świecie spotykają podchorążowie generała Trębickiego, który strofuje ich ostro i żąda, aby natychmiast złożyli broń.

Rozkrzyczanego, miotającego obelgi wiodą Trębickiego między sobą. Wreszcie, gdy nazywa ich nikczemnymi mordercami, jest tych obelg za wiele. Trębicki ginie. Ginie również przez pomyłkę zacny generał Nowicki, wzięty w zamieszaniu za znienawidzonego byłego gubernatora Warszawy Lewickiego.

Dopiero pod arsenałem wpadają podchorążowie w wir ruchu. Witają ich oddziały wojska polskiego i lud warszawski, niezawodny, rozgorzały pragnieniem walki. Arsenał zostaje zdobyty. Teraz dopiero powstanie przybiera poważną postawę, porasta w groźną siłę. Zagarnięta już jest cała przestrzeń od Placu Bankowego po plac Zamkowy.

Wojska rosyjskie, niepewne co mają czynić, nie otrzymując żadnych rozkazów od księcia Konstantego, który przerażony stracił głowę, krążą wzdłuż alei, zapuszczając się czasem najwyżej ku Krakowskiemu Przedmieściu.

Aż do północy huczały z obu stron strzały. Przez całą noc na placach i ulicach Warszawy płonęły ogniska. Wojsko i lud czekali wypadków dnia następnego.

Strękowska.

URSZULANKI

25 listopada b. r. obchodzimy 400-lecie powstania Zakonu Urszulanek.

Założycielką Urszulanek jest św. Aniela Merici. Urodziła się 1474 r., współczesna wielkich postaci renesansu — Rafaela, Mich. Anioła i in. z renesansową szerokością poglądów ujęła zadanie kobiety.

Czasy to były przełomowe. — Ideały średniowieczne stawały wobec nowych prądów, które impetem młodzieńczym zdawały się druzgotać przeszłość. Obawa »spoganienia«, cofnięcia się zamiast postępu — wywołała opór. Zawrzało. — W nauce, sztuce, współżyciu ludzkości zmagało się dobro ze złem, bolesne ciosy padały na Kościół.

Wśród kłębowiska ludzkich żądz spokojnem było serce pokorne, miłością przepełnione.

Do ludzi, którzy »czystem sercem Boga oglądają« i Jego działanie w dziejach świata widzą, należała Aniela Merici.

Gdy wielcy obmyślali wielkie dzieła naprawy i postępu, skromna dziewica z Brescji zaczęła nikłą pracę u podstaw.

Zepsuciu obyczajów, zawistnemu egoizmowi i luterskiemu »non serviam« przeciwstawiła czystość młodych serc bez podziału oddających się Bogu na służbę ludzkości w karnej wierności wobec Stolicy Świętej.

Program pozornie nieuchwytny, dzięki mistrzowskiej organizacji sprawnie został zrealizowany.

25 listopada 1535 r. — dwanaście panien podobnym jak Aniela ożywionych duchem zawiązało T o w a r z y s t w o św. U r s z u l i — Kolońską Męczennicę, bowiem, co z gronem towarzyszek krwią okupiła stałość w wierze i wierność Chrystusowi, obrała Założycielka za Patronkę tej gromadki, co szła w bój — po szczęście. Nie dla siebie, lecz dla tych, co sami szczęścia zdobyć nie umieli.

Pielęgnować chorych, wspierać ubogich, krzepić zwątpiałych, a przedewszystkiem uczyć — uczyć dzieci było zadaniem Urszulanek.



Nie stanowiły one Zgromadzenia zakonnego. Klauzura uniemożliwiałaby im tę tak szeroko zakreśloną działalność społeczną. Nie nosiły stroju zakonnego. Według ówczesnych pojęć utrudniałby im dostęp do siedlisk nędzy najbardziej potrzebującej pomocy.

Urszulanki pozostawały w swych rodzinach, przykładem prawdziwie chrześcijańskiego życia i praktykowaniem rad ewangelicznych, pociągały ludzi do cnoty.

Była to organizacja na owe czasy bardzo śmiało ujęta, nawskroś nowożytna — a św. Założycielka, patrząc daleko w przyszłość, zalecała jeszcze i nadal dostosowywać się do słusznych wymagań epoki.

Tem poleceniem zapewniła swej instytucji ciągłą świeżość i trwałość.

Zgromadzenie rozwijało się szybko. W 1536 r. zyskało aprobatę biskupią, zdobywało uznanie władz, społeczeństwa i rosło w liczbę tak, że przy śmierci Założycielki 1540 r. obejmowało z górą 150 członków. W 1544 zyskało aprobatę papieża Pawła III.

Z biegiem czasu w organizacji wewnętrznej zaszły zmiany. Zaprowadzono strój zakonny i klauzurę, gdyż taka forma lepiej odpowiadała w XVII i XVIII w. wymaganiom pracy wychowawczej, której Urszulanki oddawały się specjalnie.

Urszulanki miewały wówczas głównie pensjonaty, w których dziewczynki wychowywały się i kształciły w bliskiej łączności z życiem zakonnem. Później zaczęto otwierać także externaty przez długie jeszcze lata mniej liczne od internatów. Przy zakładach urszulańskich o wysokim jak na owe czasy poziomie naukowym, utrzymywano szkółki niższe dla biednej dziatwy dochodzącej, często w klasztorze dożywianej i odziewanej. Było to pole pracy charytatywnej pensjonarek.

Z kolebki swej, Brescji, Urszulanki rozeszły się po całej Italji, Kremona, Medjolan,

Genua, Parma, Foligno przed upływem XVI w. szczyciły się działalnością Urszulanek. Sprzyjały im władze duchowne i świeckie, a św. Karol Boromeusz pragnął je mieć w każdej parafji i przepowiedział, że Zgromadzenie rozszerzy się na świat cały.

Najbardziej rozwinęła się działalność Urszulanek we Francji. Na początku XVIII w. liczono tam 300 domów urszulańskich. Prześladowanie Kościoła i Zakonów w czasie rewolucji francuskiej opromieniło Zakon ten chwałą męczeństwa 16 Urszulanek zgilotywanych za nauczanie religji.

Do Polski przybyły Urszulanki w 1857 r. i założyły dom w Poznaniu. Ich droga genealogiczna wiedzie z Bordeaux, via Liége i Wrocław. Pierwszą przełożoną na ziemi polskiej była M. Bernarda Morawska, córka Józefa Morawskiego z Oporowa, Referendarza Stanu z czasów Księstwa Warszawskiego, bratanica poety Franciszka.

Duchowieństwo z arcypasterzem Przytłuskim na czele i społeczeństwo polskie witało Urszulanki z niekłamaną radością. Szkolnictwo żeńskie pod zaborem pruskim nie było unormowane, a szkoły prywatne przedstawiały daleko idące dowolności w zakresie programów. Na łamach czasopism spotykamy się z wyrażeniami pragnień, by przybyły do Wielkopolski jakie Zgromadzenia zakonne, któreby zajęły się nauczaniem.



Urszulanki miały już w Europie wyrobioną markę. Wiedziano, że dają naukę solidną i wychowują na dzielne córki Ojczyzny i Kościoła. Dziwnem było, że władze rządowe zdawały się życzliwie ustosunkowane. Okazało się później, że Prusacy żywili nadzieję, iż zakonnice przybywające z Wrocławia będą podatnem narzędzem germanizacji! — Urszulanki utrzymywały t. zw. »Wyższą Szkołę żeńską«, której program zwyczajem raczej

niż przepisami określony, rozszerzały na własną, urszulańską modłę. Matematyki, fizyki, przyrody — mało, języka francuskiego, historji i literatury powszechnej, historji sztuki i robót ręcznych — dużo, a najwięcej religji, języka polskiego, historji i literatury polskiej. Literatury ojczystej uczono na podstawie czytania dzieł oryginalnych, do najnowszych włącznie. Przerabiano też nieco pedagogiki i psychologji. W ostatnim, ósmym roku nauki następował podział. Uczenice, które pragnęły zdać maturę i otrzymać rządowe patenty nauczycielskie, przechodziły do »selekty« inne kończyły kurs gospodarstwa, zapoznawały się z arkanami sztuki kulinarnej, prowadzeniem rachunków domowych i t. p. Egzamin dojrzałości odbywał się w zakładzie przed komisją składającą się z przedstawiciela biskupa, władz rządowych i grona nauczycielskiego. W charakterze externistek przybywały na maturę katoliczki, uczenice innych zakładów naukowych w Poznaniu.

Na życzenie X. Kard. Leduchowskiego założyły Urszulanki 1868 r. nowy dom w Gnieźnie.

O ile dom poznański, z zasobnego klasztoru wrocławskiego przybywający, miał i w kraju zamożnych opiekunów w rodzinie M. Przełożonej — o tyle dom gnieźnieński od początku poszedł drogą ubóstwa.

Kapitał zakładowy 100 talarów nie na wiele starczył! Nie mniejszy jednak niż w Poznaniu był skarb serc ludzkich, które szczerą życzliwością otoczyły »mały Klasztorek«.

Znaleźli się przyjaciele, co i materjalnie wspomogli. Zakupiono dom, urządzono szkołę, pensjonat. »Jeden pokój przeznaczono na kaplicę Najśw. P. Marji Niepokal. Poczętej, na pierwszem piętrze urządzono klasy i sypialnie dla uczennic, dla Sióstr pozostało poddasze, gdzie latem upał sen w nocy z powiek spędzał — zimą atrament w kałamarzach zamarzał«. Ale było wesoło i Boża szczególna Opieka czuwała.

Kronika klasztorna zapisuje niejeden fakt interwencji niebieskich Patronów — św. Józefa zwłaszcza — w codziennych potrzebach Sióstr.

Prześladowanie Kościoła i zakonów w Prusach — osławiona walka kulturna — nie oszczędziła Urszulanek. Cofnięto przywileje egzaminowe, nowoukutemi przepisami utrudniono pracę nauczycielską, wreszcie rozporządzeniami z 1875 r. zmuszono Urszulanki do opuszczenia Wielkopolski.

W r. 1875 Urszulanki poznańskie przeniosły się do Krakowa — w 1877 gnieźnieńskie do Tarnowa.

I tu witała Siostry życzliwość władz duchownych i krajowych i całego społeczeństwa. Wyłoniły się natomiast trudności natury formalnej. Wiele trzeba było włożyć starań, trudu, by w szkolnictwie galicyjskiem ściśle przepisami określonem, zdobyć prawa dla urszulańskiej uczelni.

I tu Bóg błogosławił. W myśl poleceń św. Założycielki, Urszulanki dostosowywały się do potrzeb chwili zakładając szkoły ludowe wydziałowe, zawodowe, licea czy gimnazja.

Nad wszystkiemi formami pracy w zakresie szkolnictwa, wychowawstwa czy organizacji zakonnej — górował i góruje niezmiennie duch św. Założycielki, duch prostoty i miłości.

W zakresie organizacji zakonnej najważniejszem zdarzeniem było złączenie się w 1919 r. autonomicznych domów urszulańskich w Polsce, w Zgromadzenie Urszulanek polskich pod zarządem wspólnej Przełożonej Generalnej, rezydującej w Krakowie (Starowiślna 11).

W 1920 powstała nowa kongregacja »Urszulanek Serca Jezusa konającego«

Ciekawa ich historja.

Gdy w 1907 roku fundowany przez Tarnów kołomyjski dom Urszulański tworzył nowe filje w Stanisławowie i we Lwowie — dom krakowski sięgnął dalej jeszcze. Założył tajną placówkę w Petersburgu. Znano tam szeroko polską pensję św. Katarzyny, ale o tem że pracowały tam córki św. Anieli, że pani przełożona to była Matka Przełożona domu krakowskiego — wiedziały tylko Urszulanki. I to nie wszystkie. — Wypatrzyły to jednak władze rosyjskie, a pani przełożona, nie z największą kurtuazją »aniołów stróżów« odstawiona do granicy państwa carów — dalej robiła swoje. W Danji, Szwecji uczyła polskie dzieci robotnicze. Rozszerzył i zmienił się zakres urszulańskiej pracy — nie godziło się zarzucać go wróciwszy po wojnie na polską zie-

1535 - 1935

URSZULAŃSKIE SZKOŁY W POLSCE.


LUBLIN


STANISŁAWÓW


Św. ANIELA


KOŚCIERZYNA


TARNÓW


LWÓW


KOŁOMYJA


RYBNIK


KRAKÓW


POZNAŃ


GDYNIA


POKRZYWNO


WŁOCŁAWEK

mię. Obok Urszulanek »czarnych« utrzymujących przeważnie szkoły średnie i powszechne, powstały Urszulanki »szare« pracy charytatywnej i misyjnej wśród ludu oddane. Ich Dom Macierzysty jest w Lubocześnicy pod Pniewami.

Od 1931 r. trzecią formę urszulańskiej pracy reprezentują w Polsce Anielanki t. j. Urszulanki świeckie zorganizowane według pierwotnej reguły św. Anieli. Pracują w szkołach, urzędach, zawodach, wspierają chorych i ubogich, docierają tam, gdzie i dziś habit utrudniony miałby dostęp. Siedziba ich głównego Zarządu jest w Krakowie (Starowiślna 11). *M. F.*

O św. Anieli i Urszulankach mamy bogatą literaturę we wszystkich językach europejskich. Z dzieł polskich najważniejsze są prace **M. C. Łubieńskiej: „Święta Aniela i Jej dzieło"** — Kraków 1935 (6 zł.) — **Pierwotna forma Tow. św. Anieli"** Kraków 1932 (1 zł) — **Ustawy Tow. św. Anieli".** Kraków 1932 (1 zł.) — **Życie św. Anieli** — Kraków 1935 (35 gr).

Symbol pokoju i miłosierdzia.

Był zamożny lekarz szwajcarski, Henryk Dunant, który nadewszystko lubił podróże i przygody. W roku 1859 losy zagnały go do Solferino, w czasie kiedy odbywała się walka Francuzów z Austrjakami.

Bitwa zapowiadała się nadzwyczaj ciekawie.

Uprosił więc sztab francuski, aby mu pozwolono patrzeć na to niezwykłe widowisko.

Bitwa była długa i krwawa, aż wreszcie kres jej położyła gwałtowna burza wielką ulewą.

Na drugi dzień rano Henryk Dunant poszedł na pobojowisko i potworny widok przedstawił się jego oczom; cała dolina była zalana wodą. Setki trupów i rannych wydających przenikliwe jęki, leżały pokotem.

Widok ten wstrząsnął doktorem do głębi i postanowił zrobić wszystko, aby ulżyć doli nieszczęśliwych.

Uzyskał od miejscowego księdza pozwolenie na wniesienie rannych do kościoła; zmobilizował całą wioskę do pomocy, wyjednał od sztabu francuskiego, aby zwolnił wziętych do niewoli lekarzy i sanitarjuszy i rozpoczął akcję ratunkową.

Oczywiście, pomoc ta była mocno niewystarczająca, ale i tak wielu uratował życie.

Od tej pory celem jego życia stała się myśl o konieczności zorganizowania takiej międzynarodowej instytucji, któraby choć w części mogła okropności wojny stuszować.

Przedsięwziął podróż po wszystkich krajach Europy i póty agitował, póty kołatał, aż wreszcie dopiął celu i w roku 1865, zjechali się w Genewie przedstawiciele pięciu mocarstw i tam uchwalono stworzenie instytucji Czerwonego Krzyża.

Z biegiem czasu do konwencji Genewskiej przystępuje 47 państw, prawie wszystkie kraje cywilizowane.

Powstaje tak zwany Komitet genewski, którego celem pomoc i ochrona rannych wojennych.

Po wojnie działalność Czerwonego Krzyża rozciągnięto i na czasy pokojowe. Dziś, Czerwony Krzyż we wszystkich krajach prowadzi na szeroką skalę akcję humanitarną jak najszerzej pojętą. Dla tych prac powołano do życia sekcję paryską.

Takie są w zarysie dzieje międzynarodowej organizacji Czerwonego Krzyża.

* * *

Polski Czerwony Krzyż został powołany do życia zaraz po odzyskaniu niepodległości i odrazu w wojnie z bolszewikami, okazało się czem jest ta placówka dla żołnierza.

Dziś, gdy jak narazie, widmo wojny jest bodaj zażegnane, Polski Czerwony Krzyż zajął się pracą pokojową, prowadząc cały szereg placówek społecznych.

Na wstępie zaznaczyć należy, iż to, co się robi (a robi się naprawdę dużo) jest wykonywaniem zaledwie części nakreślonego programu, bo Czerwony Krzyż jest skutkiem kryzysu, który bardzo zmniejszył jego wpływy, w nadzwyczaj ciężkich warunkach. Tutaj zaznaczyć należy, iż Czerwony Krzyż, mimo iż fundusze jego się kurczą, nietylko nie zmniejszył zasięgu swej działalności, ale stara się ją możliwie rozszerzać.

* * *

Czerwony Krzyż na całym świecie cieszy się wielkiem uznaniem — poparciem

moralnem i finansowem, jako organizacja wcielająca w życie najwyższe ideały ludzkości, stojąca ponad wszelką walką z pobudek politycznych i narodowych.

U nas niestety ogół odnosi się do Czerwonego Krzyża obojętnie. Znikomą w stosunku do innych narodów jest liczba jego członków i współpracowników. Instytucja ta walczy stale z brakiem funduszów. Wprawdzie ustawa ze stycznia ubiegłego roku, przyznaje Czerwonemu Krzyżowi pewne kwoty z dopłat do biletów widowiskowych, są one jednak niewielkie, nieregularnie wpłacane i w stosunku do olbrzymich potrzeb bardzo niedostateczne.

Wszyscy więc powinni się gremjalnie zapisywać na członków Czerwonego Krzyża, a ci którzy mogą, powinni się zgłosić do czynnej współpracy.

Wszyscy powinni stanąć pod białym sztandarem, symbolem pokoju, na którym widnieje Czerwony Krzyż, symbol »Miłosierdzia«.

Ignacy Paderewski.

W listopadzie odbywać się będą uroczystości, akademje i koncerta utworów Ignacego Paderewskiego, który kończy 75-ty rok życia.

Sędziwy artysta w skromności swej nie życzył sobie aby tę rocznicę obchodzono z większym rozgłosem, ale niepodobna pominąć jej milczeniem.

Paderewski bowiem, to nietylko król pianistów — kompozytor — człowiek wielkich zdolności i wytężonej pracy — uwielbiany mistrz — atrakcja królewskich salonów, ale przedewszystkiem drogi sercu naszemu jako rodak, — wielki obywatel swej Ojczyzny, której służył całą swą gorącą polską duszą. Wsławił imię Polski na krańcach świata, — setki tysięcy dolarów, całe mienie swoje rzucał na cele dobroczynne w kraju i zagranicą. Wspaniały dar dla Grodu wawelskiego, pomnik chwały Grunwaldzkiej — jest też dowodem Jego serca szlachetnego oddanego Polsce, miał on być, jak się wyraził: »nie dziełem nienawiści — ale wielkiej miłości do rodzinnego kraju z natchnienia dawnej potęgi i chwały, votum dziękczynnem na ołtarzu Ojczyzny — aby natchnąć ród ludzki miłością i pokojem«.

Był też wymownym rzecznikiem w pracy nad budową niepodległości Polski. Dzięki przymiotom i stosunkom rozległym z najwybitniejszymi mężami stanu, — potrafił zainteresować dyplomację europejską losami kraju pokrzywdzonego. Toteż na światowej konferencji pokojowej wyrażano się z największem uznaniem o premierze Polski, że każdy kraj mógłby pozazdrościć takiego wielkiego patrjoty.

Jest więc Paderewski godny czci i podziwu nietylko jako mistrz tonów, ale jako wielki Polak.

Wdzięczni mu jesteśmy za wsławienie imienia Polski i przypomnienia jej światu.

»Mając szersze poglądy, — walcząc o Polskę — walczył o Europę i pokój jej«. Słusznie powiedział żartobliwie Saint Saëns: »C'est un gènie qui joue aussi du piano«.

Marja Stecowa.



Ignacy Paderewski.

Ofiarna Społeczniczka.

W zeszłym roku odbyła się pierwsza pielgrzymka katolików francuskich na Jasną Górę, w liczbie 80 osób. Wycieczce tej zawdzięczamy już przeszło setkę artykułów o Polsce zamieszczonych w różnych pismach przez uczestników tego zespołu. Później, za pośrednictwem ambasadora Chłapowskiego zostało przesłane do Warszawy piękne Votum, które specjalna delegacja przywiozła do Częstochowy i wręczyła przewielebnemu Ojcu Generałowi Przeździeckiemu, dla powieszenia w kaplicy cudownego obrazu. Wycieczka ta dla propagandy polskiej we Francji miała wielkie znaczenie i przyczyniła się do zacieśnienia serdecznych węzłów przyjaźni, między obu narodami. Przy tej sposobności należy zaznaczyć wielkie zasługi dla naszej propagandy zagranicznej, jakie kładzie p. Wanda Ładzina — ofiarną, cichą, wytrwałą, a jakże owocną swą działalnością.

P. Wanda ze Szczuków Ładzina, od pierwszej młodości odznaczała się wielką energją i umiłowaniem Ojczyzny. Wojna światowa zaskoczyła ją we Francji. Pragnąc ulżyć cierpieniom walczących żołnierzy, wstępuje do szpitala jako sanitarjuszka i pracuje tam przez cztery lata. Była dobrym duchem rannych Polaków z Legji Cudzoziemskiej; tysiące zaś żołnierzy francuskich, dowiadywało się od niej o Polsce, o jej męczeńskiej niewoli, i bohaterskich dążeniach do Niepodległości. Za pracę tę otrzymała szereg wysokich odznak francuskich.

Po wojnie wraca do kraju. W r. 1920, w czasie wojny bolszewickiej, p. Ładzina prowadziła patrol sanitarny na froncie. Podczas powstania Śląskiego wyjechała jako delegatka Czerwonego Krzyża do Katowic, niosąc pomoc w postaci zapasów odzieży, żywności i słów otuchy i wytrwania. Za prace te otrzymała dwa ordery Czerwonego Krzyża.

W roku 1922 weszła do Sejmu Rzplitej, jako przedstawicielka kobiet Łódzkich.

Na terenie międzynarodowym, p. Ładzina również pracuje gorliwie. Dalej p. Ładzina jest delegatką z ramienia Towarzystwa Opieki nad Rodakami na obczyźnie, do Komitetu walki z handlem kobietami i dziećmi. Najbardziej jednak istotną częścią Jej pracy, jest akcja odczytowa, którą prowadzi już od 1925 r. W ciągu ostatnich 8 lat p. Ładzina objeżdża ośrodki naszej emigracji i niesie im słowa o Polsce. Mówi im o Częstochowie, o Królowej Jasnogórskiej i o Ojczyźnie.

— Każdy ma w duszy jakieś wielkie ukochanie — mojem jest, aby nie pozwolić ani jednej duszy polskiej iść na zatratę wynarodowienia na obczyźnie.

Mówi mi wesoło p. Ładzina.

W umysłach emigrantów polskich państwo Polskie i religja ojców, to dwa pojęcia, które kojarzą się w jedno — to dla nich ta Polska, którą kochają, o której marzą z oddalenia, której tradycje chcą przekazać swym dzieciom. Zupełnie wzruszająca jest serdeczność i zainteresowanie, jakie okazują nasi wychodźcy dla każdego słowa z Polski i o Polsce. — Poprostu słów mi brak, aby to wyrazić, — słuchają całą duszą — z każdej pary oczu widać, jaką czują potrzebę tego słowa z dalekiej ojczyzny, jak cenią każdą wiadomość i jak bardzo pragną mieć poczucie, że kraj o nich nie zapomniał. Jedną z najważniejszych spraw naszej propagandy, jest nie dopuścić do tego, by wychodźctwo czuło się opuszczone przez Ojczyznę i Rodaków.

— A tak naprawdę nietrudno do nich trafić, tak mało wymagają — wystarczy bodaj parę słów, byle tylko naprawdę serdecznie powiedzianych. Słowa te muszą być szczere, proste.

— Jak pani organizuje swoje objazdy odczytowe?

— Poprostu piszę, że tego i tego dnia przyjadę i będę mówić o Polsce i Panience Częstochowskiej — i jakoś to idzie. W ciągu ostatnich lat udało mi się zorganizować przeszło 800 odczytów. Przewinęło się przez sale, w których mówiłam około 150 tysięcy ludzi. Na odczyty przychodziło również wiele Francuzów, to też często mi się zdarzało wygłaszać jednocześnie dwa przemówienia po polsku i po francusku. Wszędzie spotykałam się z jak najdalej posuniętą przychylnością kleru francuskiego i miejscowego spo-

łeczeństwa, wszyscy mi pomagali i tak jakoś szło. Gdy się czegoś bardzo chce, to człowiek zawsze swego dopnie — o tem, proszę pani, należy zawsze pamiętać, a mnie bardzo na sercu leży los tych ludzi, oddanych ciężkiej codziennej pracy, oddalonych od kraju, pozbawionych języka i siły moralnej, płynącej z zespolenia się z rodakami — więc chciałam i chcę koniecznie przynieść im słowa otuchy, mówiąc o Polsce.

Kończy p. Ładzina.

— A przytem, proszę pani, bardzo ważną jest rzeczą prostować nieraz mylne i wręcz fantastyczne pojęcia, jakie cudzoziemcy mają o Polsce.

Patrząc na wykaz odczytów, które wygłosiła, na szereg entuzjastycznych głosów prasy zagranicznej o jej odczytach wygłaszanych dla cudzoziemców o Polsce, na stosy listów od tych, którzy są zmuszeni do życia na obczyźnie poprostu wierzyć się nie chce, że pracy tej dokonała jedna kobieta, występując zupełnie pojedyńczo, organizując wszystko własnym kosztem, własnym trudem i inicjatywą, nie będąc oparta o żadną organizację, ani nie będąc delegatką żadnej instytucji.

Obdarzona świetną wymową, niezmiernie ujmującą powierzchownością i czarującym wdziękiem p. Ładzina umie sobie wszystkich ująć, umie przezwyciężyć wszystkie przeszkody i nadać swej akcji charakter prawdziwie poważnej i skutecznej propagandy. W pracę swoją kładzie p. Ładzina całą swoją duszę i, co więcej, umie swój zapał przelać w dusze tych, którzy jej słuchają. Dla poparcia akcji odczytowej, opracowała p. Ładzina książkę o »Zjawiskach w Lourdes« po polsku i o »Częstochowie« po francusku.

Monografja o Jasnej Górze jest jedynem dziełkiem o Częstochowskiej Panience i ma duże powodzenie wśród cudzoziemców. P. Ładzina otrzymała w rocznicę 10-lecia Niepodległości, odznaczenie »Polska swemu obrońcy«, a za propagandę katolicką, otrzymała od Ojca św. order »Pro Ecclesia et Pontifice« wraz ze specjalnem błogosławieństwem papieskiem na dalszą, tak pięknie zapoczątkowaną pracę.

Za tę cichą, a tak owocną pracę, należy się p. Ładzinie wielkie uznanie od społeczeństwa i serdeczne Bóg zapłać.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

U autora Przylądka Dobrej Nadziei.

Zygmunt Nowakowski to jeden z najzdolniejszych autorów współczesnych. — Udałam się do Niego z prośbą o wywiad dla »Dziś i Jutro«. — Odrazu od progu przywitał mnie miły uśmiech gospodarza. Nowakowski z ciekawością przegląda przyniesiony mu przezemnie egzemplarz naszego pisma.

— Młodzież entuzjazmuje się pana książkami a w pierwszym rzędzie »Przylądkiem Dobrej Nadziei« i »Rubikonem«. Czy mógłby mi pan coś na ich temat powiedzieć?

— Najchętniej!« Przedewszystkiem chciałbym zaprzeczyć mniemaniu czytelników o tych dwóch książkach, iż są to moje autobiografje. Kiedy dałem tę książkę do przeczytania mej matce — staruszce, zawołała myśląc też, że to autobiografja. — »Ależ to same kłamstwa«!

— Pewnie jednak matka pana była rada z tak pięknego swego portretu w książce, wszak to jeden z piękniejszych pomników wystawionych matce w naszej literaturze.

— Tak, bardzo się rozczuliła. Dalej, przechodząc do mych fantazyj w tych książkach, jeśli chodzi o »Rubikon«, to historja o Hunach i o jeżdżeniu przez nas na mięsie za ich przykładem, jest usłyszaną od znajomych, a nie miała miejsca u nas — jak to opisałem. Tak samo zestawienie różnych faktów historycznych w jednej klasie, jak np. — śmierć Wyspiańskiego, wojna japońska, rewolucja, którą opisuję, zestawienie to wynikło z konieczności, ale nie działo się w rzeczywistości w jednym roku kalendarzowym. Również szczegóły dotyczące opisanego przezemnie gimnazjum. Ja bowiem, chodziłem najpierw



do gimn. Sobieskiego, a kiedy stamtąd zostałem »wylany« (tu Nowakowski uśmiecha się łobuzersko!) przeniosłem się do św. Jacka.

— A czy pisząc »Przylądek« zamierzał już pan wtedy napisać »Rubikon«?

— Bynajmniej — stało się to dopiero potem. — Napisałem bowiem nowelkę dla młodzieży p. t. »Hunowie«, tam wyszły różne szczegóły, które »same prosiły się« o dalszy ciąg.

— A czy spodziewał się pan takiego powodzenia obu powieści, jak to miało miejsce?

— Przeciwnie. Powodzenie to było dla mnie prawdziwą niespodzianką. »Przylądek« wyszedł w 3000 egzemplarzy, teraz wyjdzie już czwarte wydanie. Tak samo »Rubikon« rozszedł się bardzo prędko.

— Czy nie zamierza pan napisać jeszcze jednej części z czasów np. uniwersyteckich?

— Przydałoby się to. — Przyznaję. Chciałbym nawet bardzo.

— Musi pan to koniecznie napisać!

— Trzeba będzie, ale nie zaraz. Obecnie mam kilka innych rzeczy w robocie.

— Nad czem pan teraz pracuje?

— Przedewszystkiem wydaję dwie nowe książki. Jedna będzie zbiorem opowiadań dla młodzieży. Druga to zbiór feljetonów pisanych częściowo w I. K. C., a częściowo w »Wiadomościach literackich«. Tytuł tej książki będzie »Lajkonik«. Równocześnie piszę utwór sceniczny — »Jednem słowem, jak z rogu obfitości« — Co robić! Trzeba pracować. — Ale w mieście bardzo trudno znaleźć odpowiedni spokój. Ja lubię zaszyć się gdzieś na głuchej wsi, gdzie niema absolutnie nikogo; tam pisze się cały dzień cudownie! Tak właśnie napisałem »Rubikon« w ciągu czterech tygodni lata.

— A czy lubi pan pisywać dla młodzieży?

— Tak. Młodzież to najwdzięczniejszy czytelnik, jest rzetelnym, trzeźwym i życzliwym krytykiem, a przytem umie się szczerze entuzjazmować. Bierze do serca to co jej autor z serca daje, a to cieszy najwięcej. Miałem np. wzruszający objaw, przy wydawaniu mojej książki także dla młodzieży p. t. »Puhar Krakowa«. Oto jeden z takich młodocianych czytelników zwrócił się do mnie z pretensją, że poszedł pod wskazanym w książce adresem na ulicy Szlak pod numerem x i że tam żadna pani »C« nie mieszka!! Tak. Młodzież wierzy autorowi. Tak samo innym razem jeden z moich znajomych chłopców był chory. Nie mając czasu na zbyt częste odwiedziny obiecałem mu przysłać mego brata Tadeusza, którego w mej powieści opisałem jako »Bolka« — Nie! zawołał wtedy pacjent, tego nieznośnego chłopca Bolka, nie chcę widzieć na oczy!

— Muszę panu wyrazić swój podziw, który dzieli też wielu z pańskich czytelników, że co niedzielę pisze pan feljeton w I. K. C. zawsze świetny i dowcipny! To chyba męczące i nieraz trudne zadanie. Czy pan ma coś w tece w razie braku pomysłu?

— Nie, absolutnie niczego nigdy nie mam w zapasie. Piszę od ręki! Oczywiście, że to nieraz ciężko. Na to, by feljeton był aktualny potrzeba mi właśnie kawiarni i zetknięcia się z ludźmi. Pozatem sami czytelnicy ułatwiają mi w dużej mierze zadanie.

— W jaki sposób?

— Przedewszystkiem przez korespondencję, której codzienna poczta przynosi mi dużą ilość. Sami czytelnicy poddają mi tematy, albo też przysyłają mi książkę, która właśnie wyszła. Nieraz otrzymuję anonimowo kilka

egzemplarzy z różnych stron Polski, z podkreślanemi już miejscami do skrytykowania. To mi bardzo ułatwia zadanie. Oczywiście, że w Krakowie specjalnie praca feljetonowa jest utrudniona przez to, że tu rzadko coś się naprawdę »dzieje«. Pod tym względem idealną byłaby Warszawa. Ale cóż! Zanadto jestem przywiązany do Krakowa by się przenieść!

— A czy odpoczął pan podczas swych tegorocznych wakacyj na »Piłsudskim«? —

— Przeciwnie. Taki urlop t. zw... »kurjerowy« jest podwójnie męczący. Raz, że wszystko na co patrzę wiem, że to będę musiał opisać. A także patrzenie, choćby na cuda przez pryzmat pióra jest już połową przyjemności, staje się dalszą pracą. A z drugiej strony sama taka podróż jest bardzo męcząca, ciągła zmiana miejsca, pieniędzy, ciągłe podniecenie... to nie wypoczynek.

— Po takim urlopie dopiero chętnie pojechałby Pan odpocząć, na taką głuchą wieś.. dodaję wstając.

— O właśnie! Na głuchą wieś. — Podziękowałam p. Nowakowskiemu za jego uprzejmość w imieniu swojem i tych Czytelniczek »Dziś i Jutro«, które z entuzjazmem przeczytają o swym ulubieńcu. Nowakowski na pożegnanie poprosił tylko, by koniecznie przysłać mu egzemplarz »Dziś i Jutro«, w którym zostanie »opisany«. Solennie mu to obiecałam! *Jadwiga Hoesick Hendrichowa.*

Zostaję Bibljotekarką.

Dziś rano Zośka z zarumienioną radością twarzyczką wpadła jak bomba do mojego pokoju, rzucając mi się na szyję.

— Dziękuję Ci dziękuję, Ty najlepsza z kuzynek. —

— Ale powiedzże co się stało i za co mi dziękujesz — powiedziałam, oswobadzając się z mocno niedźwiedzich karesów.

— Za to, że zostaję bibljotekarką.

— Ty bibljotekarką, ale jakże się to stało, że powzięłaś taką prędką decyzję. Przecie kilka dni temu zostawiłam cię w smutnej rozterce i powtarzającą uparcie, że żadnego odpowiedniego zawodu dla Ciebie niema?

— Tak, ale mi dałaś adres poradni zawodowej i radę, abym się tam czemprędzejudała.

— No i co? — a no poszłam z góry nastrojona opozycyjnie, ale, gdy mnie tam wzięli w swoje obroty, to po paru godzinach zajaśniało w mojej znękanej głowie i już wiem, że bibljotekarstwo to jedyny, jakby stworzony dla mnie zawód.

— Zaraz ci wszystko opowiem. — Przedewszystkiem, jak wiesz, od dzieciństwa kochałam zawsze książki i utrzymywałam je porządnie. O tem zamiłowaniu bliscy mi wiedzieli, to też książka była upominkiem, który często dostawałam. Dziś mam wcale pokaźną ich ilość i są one posegregowane i mam nawet katalog sporządkowany, według własnego pomysłu.

— Więc pierwszy warunek dobrej bibljotekarki — zamiłowanie do książek — mam.

Ale to chyba nie wszystko — wtrąciłam sceptycznie.

— Pewno, że nie wszystko — Zawód bibljotekarki wymaga od swych adeptek, oprócz prawdziwego zamiłowania do książek, dobrej znajomości literatury, współczesnej, wszechstronnego oczytania. Bibljotekarki muszą się przytem odznaczać niezwykłą systematycznością, starannością i porządkiem, cierpliwością, wytrwałością i energją, oraz usposobieniem spokojnem i zrównoważonem.

Przy spełnianiu czynności bibljotekarskich, niezbędną jest dobra pamięć, o szerokim zakresie i zdolności organizacyjne.

Prace bibljotekarki winna cechować niezwykła staranność i dokładność. Jeden błąd przy segregowaniu, katalogowaniu, lub ustawianiu książek, może pociągnąć za sobą trudne do naprawienia zamieszanie.

Od bibljotekarki wymagana jest cierpliwość, poważne usposobienie. Muszą one być obdarzone zdolnością poznawania zainteresowań czytelnika i umiejętnością wzbudzania w nim zaufania do udzielanych rad.

Tylko tyle? — znów wtrąciłam, przerywając ten potok wymowy — i ty te wszystkie superlatywy do siebie przykładasz?

— Moja droga — nie bądź taką złośliwą, w poradni mordowali mnie coś pięć godzin i kilka różnych powag zadecydowało, że do tego zawodu nadaję się doskonale. A ty zaraz bawisz się w złośliwości — już Ci nic nie powiem.

— Od bibljotekarek wymagana jest cierpliwość i wyrozumiałość — powiedziałam przekornie.

Na Zośkę podziałało to niby kubeł zimnej wody.

— Masz rację! Słuchaj więc dalej, ale nie przerywaj mi tak ciągle. Zasadnicza praca bibljotekarki polega na stałem kompletowaniu książek, segregowaniu, numerowaniu, właściwem ustawianiu, wypożyczaniu, sporządzaniu wykazów, spisów katalogów, oraz na opracowywaniu statystyk i sprawozdań bibljotecznych. Niekiedy bibljotekarkom powierza się pisanie streszczeń przeczytanych książek, dlatego też potrzebna tu jest umiejętność wypisania się. Bibljotekarki muszą odznaczać się zamiłowaniem książek i z urzędu, muszą wiele czytać, by orjentować się w pracach wybitniejszych pisarzy zarówno polskich jak i cudzoziemskich. Znajomość języków obcych ma tu więc znaczenie zasadnicze.

— No i gdzie można się tych wszystkich mądrości nauczyć?

Przy Bibljotece Publicznej istnieje roczny kurs bibljotekarski, który kosztuje 100 zł. Jeżeli jednak po ukończeniu tego kursu chce się dostać posadę państwową, trzeba zdawać egzamin bibljotekarski, do którego dopuszczane są osoby, które odbyły specjalną praktykę. Kursa te wymagają matury; natomiast 2-letni kurs Macierzy Szkolnej poprzestaje na 6 kl. gimn. Kurs ten ma specjalny charakter pracy społecznej i instruktorskiej. Społeczne zadanie bibljotekarki jest wielkie i szczytne.

Zależnie od swego przeznaczenia i doboru książek możemy odróżniać bibljoteki dla dzieci i młodzieży w wieku szkolnym, ludowe czytelnie i wypożyczalnie książek beletrystycznych, oraz bibljoteki naukowe.

Technika pracy we wszystkich wymienionych typach bibljotek jest taka sama. W przeciwieństwie jednak do bibljotek naukowych i beletrystycznych, gdzie czytelnicy sami decydują o wyborze książki, w bibljotekach ludowych i dla młodzieży, na plan pierwszy wysuwa się umiejętność doradzania lektury. Bibljotekarka w tym wypadku musi wybierać książki dla zgłaszających się odpowiadające ich zainteresowaniom i przygotowaniu, mając jednocześnie na względzie pewne kształcenie i wychowywanie swych czytelników. Nie mniej doniosłe i odpowiedzialne zadanie ciąży na tych, które pracują przy kompletowaniu bibljotek, gdyż dobór książek musi być uskuteczniony nadzwyczaj planowo.

A ile się zarabia na stanowisku bibljotekarki?

— Różnie od 150 — 300 zł. miesięcznie, zależy to od stanowiska, przepracowanych lat, zdolności, no i szczęścia.

— No, a czy łatwo znaleźć pracę. Oj, trudno! W poradni nie zostawili mi pod tym względem żadnych złudzeń.

Ale przecie kryzys wiecznie trwać nie będzie, a ustawa bibljoteczna kiedyś zostanie zrealizowaną. Zresztą, nawet i dziś, mimo trudnych warunków jest pewne zapotrzebowanie na jednostki zdolne, inteligentne i odpowiednio przygotowane do pracy bibljotekarskiej. Można szukać posad, czy to w bibljotekach o charakterze społecznym, czy też w bibljotekach typu przedsiębiorstw handlowych, a wreszcie we wszelkiego rodzaju bibljotekach naukowych, np. przy uniwersytetach, instytucjach, muzeach i t. p. Przedewszystkiem zaś można sobie założyć własny warsztat i powoli się dobijać lepszego jutra. Podobno już za 5—7 tyś. zł. można założyć dobrą czytelnię, dalej sobie uzupełniać po trochu.

Bibljotekarstwo, to zawód jakby wprost stworzony dla kobiety. Czują to »władcy świata« i tylko w nieznacznym procencie zapisują się na te wydziały.

— Brawo Zośka, widzę, że poradnia dała ci dużo, bo jednak, o ile mogę sądzić, w zawodzie bibljotekarskim orjentujesz się doskonale.

— A więc powodzenia, ty przyszła chlubo bibljotekarstwa polskiego.

— Niedźwiedzi uścisk był odpowiedzią na moje słowa. *Marja Dąbrowa.*

Matka

(dokończenie).

— Jezu! — zatrząsł nią strach — Nie trza mi chorować. Co z dzieciskami zrobią? Boże, ratuj! Boże, dopomóż! — szeptała półgłosem. Ludzie zaczęli się za nią oglądać. Zebrała się w sobie i poszła dalej. Na Podwalu przy dobrze znanej bramie odetchnęła z ulgą. Ciężko dysząc przysiadła trochę na schodach, potem czepiając się poręczy, dowlokła się do drzwi. Pani doktorowa już na nią czekała.

— O, pani Szafrańska dzisiaj się spóźniła!?

Kobieta zaczęła się tłumaczyć, zrzucając chustkę i biorąc się do roboty. Podmiotła kuchnię, połupała drzewo na drobne kawałki, wygarnęła popiol. Z półki wzięła świecę i zapałki, z kąta wiadro.

— Proszę o klucze, pójdę do piwnicy po węgiel.

Po schodach szybko zbiegła na dół.

W boku czuła ciągle uporczywy ból. Z wiadrem pełnem czarnych brył trudno było iść do góry, co parę stopni przystawała, obcierając rękawem spoconą twarz. Dziwiła się sama dlaczego tak z sił opadła. Do niedawna przecież mogła pracować cały dzień i nie czuła się zmęczona.

Przyniósłszy węgiel, rozpaliła pod kuchnią i pokolei zaczęła wykonywać różne roboty jak codzień: przygotowanie do obiadu, sprzątanie pokoi, zmywanie naczynia. Chwilami czuła ostrzejszy ból w boku, to znów przed oczami przesuwały się czarne płaty. Częściej niż zwykle musiała odpoczywać. Spostrzegła, że pani doktorowa przygląda jej się ze zdziwieniem i nieufnością. Dobywając ostatka sił, zaczęła krzątać się żywiej i opowiadać z przejęciem o swoich dzieciach. Miała jednak wrażenie, że to nie ona lecz ktoś obcy opowiada o jej dzieciach. Ktoś obcy tak śmiesznie rozkłada ręce i głosem zająkliwym, wysokim mówi o Wojtku, Rózi, Marcie i Józku. Urwała wpół zdania. Przed oczyma przesunął jej się szereg obrazów. Józek w sklepie spożywczym na ulicy Grodzkiej, Marta w szkole, Rózia i Wojtuś na podwórku razem z innemi dziećmi. Mąż Walenty... Wzruszyła ramionami. Od miesiąca odkąd poszedł gdzieś na wieś szukać roboty nie było od niego żadnej wiadomości.

— Pani Szafrańska jest dzisiaj dziwna. Czy ma pani jakie zmartwienie?

Kobieta którą ogarnął w pierwszej chwili strach, właściwie niczem nie usprawiedliwiony, chwyciła się tej myśli.

— Oj, moja pani złocista, zmartwienie to ja mam zawsze. Trza mi ciągle kręcić głową, żeby dzieciska wyżywić, komorne zapłacić. Chciałam właśnie prosić, gdyby można... prosić żeby... — zaczęła się plątać.

— Aha, chciałaby pani ostatek pieniędzy za ubiegły miesiąc — zamyśliła się pani.— Dobrze — dodała z wahaniem. — Ciężko mi wprawdzie będzie, ale dam. Przykro mi, że nie mogłam wcześniej.

Pani Szafrańska odetchnęła z ulgą. Skwapliwie zawiązała pięć złotych do chustki.

— Ale też pani mizerna, oczy podkrążone. Pani Szafrańska trzeba na siebie uważać.

Postawiła przed nią talerz zupy i kawałek chleba.

— Proszę, niech pani zje!

Kobieta zabrała się z ochotą do jedzenia, ale już po kilku łyżkach zdała sobie sprawę, że jeść nie może. W boku tkwił ciągle ból. Usiłowała jeść dalej, bo takiego jedzenia przecież w domu mieć nie będzie, ale naprawdę nie mogła. Szkoda, że dzieci zamiast niej nie mogły zjeść obiadu. Co zrobić? Korzystając z odpowiedniej chwili wylała zupę do zlewu, żeby uniknąć pytań pani. Chleb zawinęła w chustkę i schowała w zanadrze. Dla dzieci.

Gdy wyszła z ciemnej sieni oślepiło ją słońce. Przymknęła powieki. Raptem zapragnęła cieniu. W głowie szumiało, ból w boku kąsał wściekle, pot spływał po chudej twarzy. Zwolniła kroku, przystając co chwilę i zataczając się lekko. Ludzie zwrócili na nią uwagę.

— Upiła się — odezwał się ktoś za nią.

Chciała się przemóc, żeby iść pewnie, ale nagle ból się zwiększył, z ust wydarł jej się zduszony krzyk i runęła na ziemię.

Gdy się ocknęła, poczuła wstrząsy wiozącego ją auta. Po chwili uświadomiła sobie, że leży na noszach.

— Wiozą mnie do szpitala — pomyślała z ulgą. – Niechby się już raz wszystko skończyło. Takie trudne jest to życie!

Nagle z oddali doleciał ją głos wołający: mamo. Usiadła gwałtownie na noszach. Ujrzała przy sobie twarz w okularach. Mężczyzna wziął ją delikatnie za ramiona i położył z powrotem.

— Spokój, spokój, już wkrótce będziemy na miejscu.

Dzieci... moje zostały... same — szepnęła, patrząc na niego udręczonym wzrokiem. Zapisał sobie jej adres i powiedział, że Komitet niemi się zajmie. Uspokoiło ją to trochę. Myśli jednak ciągle biegły ku tej gromadce, którą zostawiła w domu. Jak sobie poradzą? Serce skurczyło jej się boleśnie. Nie żal jej było życia, nie, tylko......

Po operacji gdy znieczulenie minęło z powracającym bólem uświadomiła sobie że żyje.

Zbolała twarz rozjaśniła się uśmiechem....

Jadwiga Bilwin.

Pierwszy wywiad

(dokończenie).

Wreszcie dopięłyśmy celu. Rodziewicz przyjął nas w niedzielę o 5 30, w tym samym pokoiku o błękitnych tapetach.

— Bardzo się cieszę, że udało mi się zdobyć kilka chwil rozmowy z paniami — powitał nas uprzejmy dyrektor. — Proszę niech panie pytają, co chciałyby się dowiedzieć, ja chętnie wszystko powiem, gdyż bardzo lubię młodzież.

— »A, to wasze pismo — zainteresował się »Dziś i Jutrem« leżącem na stole.

Bardzo ładnie wydane. O widzę, że już i o mnie jest mowa. Przykro mi tylko, że kazałem paniom tak długo czekać, na dalszy ciąg, ale doprawdy tak się złożyło, że nic nie miałem czasu.

Umówiłam się z Baśką, że ona zacznie mówić, bo jest więcej wygadana ode mnie.

Baśka chrząka, robi poważną minę i pyta:

— Skąd pochodzi nazwa teatr »Wołyński?«

— Wołyń to nasza kolebka. Tu zrodził się teatr i stąd zaczął wydawać na sceny swoich pierwszych artystów.

— Ja sam jestem z Wołynia, mieszkam w Łucku, więc dlatego teatr mój nazywam »Wołyńskim«.

— W ilu miastach występuje teatr Wołyński?

— Aż w 30! Do tej pory objeżdżaliśmy większe miasta województwa wołyńskiego, lubelskiego i poleskiego, a teraz przybyło i województwo lwowskie.

— To pewnie musi pan dyrektor posiadać dużo zespołów, żeby obdzielić sprawiedliwie wszystkie miasta.

— O, broń Boże, mamy jeden zespół podzielony na dwie części i to nam w zupełności wystarcza.

— Wobec tego zespoły są w ciągłych rozjazdach.

— Tak, prowadzimy koczownicze życie. Artyści z naszego zespołu nie znają stałego miejsca zamieszkania. Jak lotne ptaki przerzucamy się z miejsca na miejsce. Naszym domem jest wagon kolejowy. Ale nie myślcie panie, że taki zwykły wagon trzeciej lub drugiej klasy. Wagony nasze dzielą się na kilka małych milutkich pokoików. Zwłaszcza panie umieją je sobie bardzo gustownie urządzić.

— Z jakiem przyjęciem spotykają się zespoły w miastach?

— Z jak najlepszem, zwłaszcza u młodzieży. Przeważnie sztuki nasze są dozwolone przez kuratorja szkołom, to też uczniowie i uczennice tłumnie uczęszczają na każde przedstawienie. Specjalnie dla nich wystawiliśmy kilka sztuk Fredry, oraz mamy w programie komedję polską Janoszewskiej-Pawlikowskiej »Szklanka wody«. Mam nadzieję, że przyjęta będzie przez was z entuzjazmem.

— Jaka rola najlepiej odpowiada Panu?

— Do tej pory grałem w komedjach, lecz najwięcej odpowiada mi dramat. Dawniej,

gdy grywałem sam jako artysta na scenie krakowskiej najlepszą moją kreacją była rola Konrada z »Dziadów« Mickiewicza. Teraz będę grał w listopadzie w »Damie Kameljowej«, tylko niestety ta sztuka nie będzie dozwolona dla młodzieży. Wogóle teraz jako reżyser i dyrektor mam zamało czasu do przygotowania się na scenę.

— Mniej więcej ile czasu zabiera przygotowanie sztuki?

— Mniej więcej ośm dni. (Muszę zaznaczyć, że teatr wołyński gra bez suflera). Prawie nigdy nie powtarzamy tych samych sztuk. Co miesiąc przygotowujemy nową. Praca nasza jest bardzo męcząca, lecz nigdy nie zniechęcamy się.

— Skąd rekrutują się artyści teatru?

— Z całej Polski. Muszę przyznać, że jestem bardzo wymagający w doborze zespołu. Artysta mający wystąpić na deskach teatru wołyńskiego musi mieć 1-o maturę, 2-o 3 lata szkoły dramatycznej, 3-o praktykę na scenie, 4-o musi zdać dwa bardzo trudne egzaminy, w zakresie reżyserji i kostjumologji.

— Jak często zmienia pan swój zespół?

— Artysta nie pozostaje u mnie dłużej, jak 3 lata. Po tym okresie musi ustąpić nowej sile. Chwała Bogu teatr nasz cieszy się bardzo dobrą opinją w Polsce i artysta, opuszczający naszą scenę, momentalnie znajduje pracę w teatrach stolicy, bądź innych miast.

— Jakie sztuki cieszą się największem powodzeniem?

— Przeważnie komedje. Niedawno dawaliśmy »Rozbitków« i niestety nie mieliśmy dużo publiczności. Dziwię się, że społeczeństwo Lublina jest tak mało ciekawe dawnych czasów, no i tak słabo reaguje na poważniejsze sztuki.

— Nic dziwnego, panie dyrektorze, teraz kryzys i każdy chce uciec od swoich trosk i smutków, a nie jeszcze patrzeć na cudze.

— Tak to racja, ale trudno się tylko bawić komedją, trzeba popróbować też smaku innego rodzaju rzeczy.

— Na zakończenie jedna mała prośba do pana; prosimy koniecznie o fotografję.

— Bardzo mi przykro, ale dzisiaj nie mam przy sobie. Jutro pójdę się specjalnie dla waszego pisma sfotografować.

— Dziękujemy — mówi zmartwiona korespondentka Barbara — ale już będzie zapóźno.

— Tak, tak zapóźno — popieram ją energicznie.

— Nic nie szkodzi — uspokaja nas Rodziewicz — przyjdą panie po fotografję później i odrazu pokażę wam teatr podczas przedstawienia od strony kulis. To jest też interesujące i doskonałe do opisania.

— Świetnie — zachwycam się — będziemy więc miały sposobność jeszcze pisać o panu tylko z tą różnicą, że wszystkie koleżanki będą mogły ujrzeć pana fotografję.

— Ja też bardzo się cieszę z tego. Doprawdy bardzo miło nam się rozmawiało, nieprawdaż? Niech panie nie zapominają o nas i koniecznie przyjdą. — Narazie dowidzenia.

Zachwycone Rodziewiczem, sobą i wogóle całym światem powróciłyśmy do domu.

A teraz dodam jeszcze kilka uwag co do naszego wywiadu. Otóż Basia napisała w pewnej częci o jego szpakowatych włosach. Doprawdy próżno wypatrywałam oczy, ale ani jednego siwego włoska nie dostrzegłam. Nie wiem co jej się przewidziało.

Miałyśmy szczerą wolę przez cały czas rozmowy zachować powagę prawdziwych dziennikarek. Gdzie tam, nie udało się. Pan Rodziewicz był tak miły i wesoły, że od czasu do czasu wybuchałyśmy głośnym śmiechem, który wpadał do malutkiej kancelarji artystów, zaniepokojonych tą nagłą wesołością dyrektora. Mimo naszych błagań, a zwłaszcza Baśki, by nie czytał pierwszej części wywiadu, dyrektor nie mógł wytrzymać i od czasu do czasu zerkał do rozłożonego przed nim »Dziś i Jutra». Niech sobie zerka — może tym sposobem zyskamy nowego abonenta. —

Beata Kelles Krause
kl. VIII. gimn. 523.

Warszawskie Zoo.

Kończy się hałaśliwy, rozdudniony wozami most Kierbedzia, rozpoczyna się Praga. Jeszcze kilkadziesiąt kroków wzdłuż ulicy Zygmuntowskiej, jeszcze po lewej stronie ogród, jeszcze kilka sekund przez drogę za ogrodem i — nareszcie jestem z wizytą u »zwierzaków«!



Wysadzana drzewami główna aleja ciągnie się do końca Ogrodu Zoologicznego, ale wszystko przeważnie dzieje się w tem państwie po jej prawej stronie.

Właśnie z niewielkiego stawku, za ogrodzeniem wyłazi dziwny łabędź czarnoszyi. Wyciąga szyję i patrzy, jakby mówił: »Cóż z tego, że na stałym gruncie wyglądam nieszczególnie? Cóż z tego, że przewalam się z boku na bok? Wolno mi, bowiem w wodzie jestem piękny«. Rzadkość obecnych czasów, przysłowiowo, ofiarny tłusty pelikan ze stoicyzmem wydziera sobie pierze z piersi. Zdaje się, że tym razem chodzi o... zwykłe trzebienie insektów. Jakąż jednak wielką wagę posiada gest! Nawet u tego zacnego, krótko-nogiego i przepastno-dzióbego gościa z dalekich krajów. Przeciwieństwa stykają się z sobą na tym świecie — słusznie więc, że w Zoo niezgrabne grubasy ocierają się o swojskie szare czaple, stąpające na swych metrowych kończynach.



— »Chodziła czapla po szerokiej desce — powiedzieć ci jeszcze«?

»Jesce« — odpowiada zwykle zaciekawiony brzdąc. Dorośli zaś pokpiwają sobie z naiwnego słuchacza i powtarzają ciągle w kółko tę samą bajeczkę. Tymczasem czapla ani podejrzewa, jaką intrygującą rolę każą jej odgrywać w prostym wierszyku, a tem mniej ani myśli spacerować po »szerokiej desce«. Tysiąc razy woli grunt błotnisty i brody pełne ryb. Właśnie w poszukiwaniu wybiegła na główną aleję, ale oczywiście zawiodła się. A dozorca zawraca ją z perswazją:

— No, Kubuś, no! Gdzieżeś ty wyłazł?

Alejka na prawo prowadzi do ptaszarni. Cóż, kiedy po drodze wzywa nigdy nie syta foka. Na nieproporcjonalnie malutkich płetwach, ciągnie z wody swój bezkształtny, oślizgły tułów i — wrzeszczy.

— Poproś państwa, poproś; państwo ci zafundują rybek — zachęca dozorca.

Ba! Czyż ją trzeba zachęcać? Już sam widok około barjerki działa na tę spryciarkę podniecająco, więc znowu wrzeszczy.

Znowu słychać krzyk. Ale tym razem groźny. To z »woliery«, dużej klatki drucianej, zamieszkałej przez ptaki drapieżne. Ponury, duży ptak, zw. mnichem, rzuca się właśnie zakrzywionym dziobem na kawałek surowego mięsa i kracze zwycięsko... Przestrzeń i warunki woljery pozwalają jemu i jego towarzyszom swobodnie fruwać. Więc sęp, łomocąc ciężkiemi skrzydłami, poleciał na gałąź, a olbrzymi orzeł, wpijając ostre szpony



w skałę, usadowił się na samym jej szczycie.

Odwracam się od drapieżników i — obraz jawiący się niespodziewanie, każe mi przymknąć oczy z przesadnej obawy, że zniknie, że coś się stanie i nie zobaczę więcej tego cudnego złudzenia... Ale — nie. Jest.

Okolony rabatkami „lwich pyszczków" i begonji wznosi się okrągły basen a z niego, z wody strzeliście wykwita żywa, biało-różowa bajka. Bieli się w słońcu jesiennem rozpościeranemi skrzydłami, różowi i czerwieni plamami na jasnych piórach; wygina się i przechyla tysiącem ruchów od niechcenia — i niewiedząca o sobie — o swojej piękności — przegląda się w wodzie, skąd wyszła, gdzie ledwie nurza stopy. Podwójna bajka.

To flamingi-czerwonaki.

Powinowaci z południa i wschodu naszych czapli i bocianów, brodzą zbite w gromadkę po płytkiej przestrzeni basenu, jak po talerzu.

W domku-ptaszarni cichy gwar i... trochę niemiłego zapachu. Środek wnętrza zajmuje długi stół z klatkami. U przeciwległej drzwiom ściany małe huśtawki na łańcuszkach. To asilum ptaków egzotycznych i papug, reprezentowanych przez najróżnorodniejsze odmiany. Te wielkie, jak ciemno-liljowa ara hiancyntowa, arakanga, kakadu, kołyszą się swobodnie na krążkach trapezów, te mniejsze, a nawet całkiem minjaturowe, jak prześliczne papużki faliste, kastanotis, maleńkie jak zabawki, tulą się do siebie po klatkach. A wszystkie: i te zielono-seledynowe i perłowo-błękitne i karminowo-złociste świegocą i z cicha szumią. Kakadu, żółto-czuba przedstawia się ni stąd, ni zowąd: »Homek, Homek« ale na czyjeś »dzień dobry« — mówi gorliwie »Aha — ha«. Trzeba bardzo dobrej woli, aby to rozumieć, jako... »dzień dobry«.

Powstaje nagle jakiś ruch i ogólne zainteresowanie. Dozorcy się gromadzą, nachylają ku stworzeniu wielkości 8-letniego dziecka i mówią pieszczotliwie:

— Lusia idzie na spacer. Na spa-ce-rek.

To szympansica, ubrana w barchanowy niebieski kombinezon, ufnie czepiająca się obiema „rękami" swego opiekuna, maszeruje na dwóch nogach na przechadzkę. Zaciekawia ją jakiś patyk, schyla się, podnosi i odrzuca: potem patrzy pytająco w oczy przewodnika:

— Ładna Lusia, ładna!

Jedynaczka naszego Zoo, a wogóle rzadki już okaz na świecie.

Rozpieszczone to „dziecię" dzieli swój apartament z aligatorem. Ależ nie... niema tu żadnego niebezpieczeństwa. Bowiem potworna jaszczurka spoczywa w odrutowanem, kamiennem korycie. Ogrzewana żarówką, leży w wodzie i kłapie straszliwie uzębioną paszczą. Przyglądam się: napewno nie ma 2-ch metrów. Zastanawia mnie to.

— On jeszcze bardzo młody. Aligatory żyją 100 lat, a ten ma 20 — mówi dozorca.

— To rzeczywiście — smarkacz — myślę sobie.

Okazuje się, że wszelkie większe pomieszczenia dla zwierząt na dworze, odgrodzone



murem, nazywają się „wybiegiem". W takim wybiegu bawi się gromada małych małpek, zw. rezusami. Za zwinne są zresztą i za ruchliwe, aby im wystarczyło to jedyne ogrodzenie: plażę ich od muru oddziela jeszcze rodzaj wypełnionej wodą fosy. Wśród kozłów i łamańców hycają z jednego drzewa na drugie, wydają jakieś trzeszczące piski, a wszystko z minami nader tragicznemi, które nie opuszczają ich nigdy. Nawet przy łapczywem chwytaniu poczęstunków od gości, nawet przy wymierzaniu wzajem sprawiedliwości popędliwemi łapkami, nawet przy... zbyt szczegółowem robieniu toalety... A, bo małpki to higienistki pierwszej wody! Czesze jedna drugą — trzecią, potem trzecia — piątą i dziesiątą.

Tygrys, olbrzymi, pięknie pręgowany kot, ociera się o pręty klatki w jednostajnym, niecierpliwym spacerze: tam i z powrotem, tam i z powrotem. Towarzyszka jego tak samo. Z pod prostokątnego czoła nad trójkątnym, mądrym pyskiem patrzą niesamowicie zielone oczy...

Lew jest spokojny. Nie »potrząsa dumnie grzywą« — jak to się zwykło czytać w szanujących się powieściach, ale zachowuje całą swą godność. Tak wobec publiczności, jak wobec gładkolicej małżonki, jako też wobec lwiej młodzieży.

Znowu wybieg. Tu olbrzymieją dwa słonie: 19-letnia Kasia i 9 letni Jaś. Buraki, marchew, jabłka znikają, niesione trąbą na śpiczastą dolną wargę.

Dwaj drugoklasiści obliczają wspólne finanse na przejażdżkę na wielbłądzie. Przyjemność ta, trwająca do końca alei i z powrotem kosztuje aż 50 groszy. Chłopcy rozpoczynają pertraktacje, a dozorca, trzymający za uzdę wielbłąda zgadza się chętnie.

Szarzeje wypłowiały modrzak, złoci się i pachnie miodownik, a gdzieś słychać proszące mruczenie. To niedźwiedź brunatny stanął na dwóch łapach przy kracie i przymila się o przysmaki. Dostał bułkę z miodem, wziął lekko, ostrożnie i zajada. Ach, jak smakuje! Mniarr, mniarrr! Od naszego kochanego łakomczucha nie różni się w gustach drugi miś, niedźwiedź malajski. Pysk ma bardzo śpiczasty, sierść krótkowłosą i jest czarny. Tylko na podgardlu żółci mu się jasny, szeroki krawat.

— Czy panowie zawsze dają sobie radę ze swymi wychowańcami? — pytam dozorcy.

— Przeważnie, proszę pani. Zwierzę najpierw musi się przyzwyczaić, a po drugie musi wiedzieć, że się je lubi. Czasem, czasem... trzeba uderzyć, ale to już w najgorszym razie i musi wiedzieć za co. Ale zawsze lepiej nie bić.

O tak, każde zwierzę musi wiedzieć o tem, że się je lubi, i pasiasta zebra i dingo, płowy pies australijski i wygrzewający się w słońcu przemiły kangur i miniaturowa kurka japońska i biało nakrapiany, smukłonogi czytal, kuzyn jelenia, nawet szakal czaprakowaty, nawet obojętne, opasłe świńsko — ryje karibu, nawet puszczyk czy żmija.

Snuje się babie lato. Jest niebiesko i szaro i słonecznie. Jest bezszelestnie i świegocąco i wrzaskliwie.

Jest miło.

Patrzę na zegarek. Co to, południe?! Niemożliwe!! A jednak — tak. — *Oszyk.*

Bój żabiomysi.

Tak powiedział i w stawu odmętach wraz ducha wyzionął.
Zoczył go jednak Miskoliż, siedzący na miękkiem wybrzeżu.
Śmierć przyjaciela ujrzawszy, wśród lęków boleści okrutnej
Puścił się pędem, by myszom obwieścić żałobną wiadomość.
Gdy usłyszały, straszliwy gniew je ogarnął;
Każą tedy heroldom wiec zwołać o świcie do domu
Gryzichleba, którego syn, nieszczęsny Kąskołap,
Płynął umarły po stawie nawznak, i to nie przy wybrzeżu,
Ale na pełnych wodach trup nieboraka się błąkał.

Kiedy więc śpiesznie przybyli o wschodzie słońca, Gryzichleb
Pierwszy wstał, rozżalony o syna, i te wyrzekł słowa:
„O przyjaciele, choć na mnie jednego spadł cios ten straszliwy,
Dzieło żab, to przecie na wszystkich was przyszedł czas próby.
Teraz jam godzien litości, bo trzech już synów straciłem:
Pierwszy zginął w drapieżnych pazurach przeklętej łasicy,
Która u mysiej go dziury samego wylotu chwyciła.
Drugi, nieszczęsny, zawdzięcza swą zgubę złym ludziom bez serca,
Co go zgładzili fortelem, nieznanym dotychczas: przynętą
Z drzewa, co łapką się zowie a myszom niesie zagładę.
Trzecie zaś dziecko, moje i matki kochanie,
Oto mi król Odmigęba na głębię zawiódłszy, utopił...
Nuże, zbroje wkładajcie ozdobne i dalej — na wroga!"
Tak przemówił i myszy zachęcił: poczęły się zbroić;
Najpierw nagolennice włożyły: napół rozłupawszy
Bobu ziarnka zielone, okryły niemi golenie
(Bób taki nocą gromadzą, ażeby nie brakło im jadła).
Wszystkie miały pancerze ze skórek, zdartych z łasiczek:
Na źdźbłach słomy rozpiąwszy te skóry, naszyły je zmyślnie.
Lampki wypukłość środkowa służyła za tarcz. Jako włócznia
Długa szpilka sterczała, spiżowa broń Aresowa.
Hełm z łupiny orzecha okrywał skronie rycerzy.
Tak tedy myszy stanęły pod bronią. Gdy je zoczyły
Żaby, z odmętu się wód wynurzyły i w jedno się miejsce
Wraz udały na wiec, by o wojnie radzić złowrogiej.
Skoro głowiły się, co to za wrzawa i skąd ta ruchawka,
Zjawił się herold z berłem, Drążyser, syn Garkoskrobka
Wielkodusznego; okrutny zew wojny przynosząc, tak rzecze:
„Żaby, myszy mnie tu wyprawiły w groźnem poselstwie,
Bym was wezwał pod broń; — do boju szykować się macie!
Śmierć Kąskołapa widziały, którego wasz król, Odmigęba,
Przywiódł do zguby w głębinach. Więc nuże, stawajcie do walki,
Jeśli jeszcze wśród żab rycerze przedni się znajdą!"
Tak oświadczył Drążyser; zaś żaby waleczne struchlały,
Słysząc mysie orędzie, i jęły szemrać na króla.
Wówczas król Odmigęba, powstawszy, tak począł mówić:
„O przyjaciele, nie ja uśmierciłem tę mysz; ni jej zgonu
Świadkiem nawet nie byłem. Zapewne igrając nad stawem,
Chciała nas naśladować i pływać, jak my: utonęła.
I oto teraz ci podli oszczercę to na mnie zwalają.
Dalej więc, radźmy, co czynić, by myszy zdradliwe w pień wyciąć.
Oto jest moja rada, która mi zda się najlepszą:
Zbroję bitewną przywdziejmy i stańmy wszyscy pospołu
Na wyniosłości nad stawem, gdzie brzeg jest stromem urwiskiem.
Skoro ich wojsko wypadnie i ruszy na nas do szturmu,
Wówczas każdego, kto tylko się zbliży, za szyszak ułapim
I do stawu prościutko strącimy ich wraz z Drążyserem.
Tak wytopimy ich wojsko, co pływać nie umie, i wzniesiem
Pomnik zwycięstwa radośnie, by świadczył o mysiej zagładzie".

Ciąg dalszy nastąpi.



Mennica w Warszawie.

Tam gdzie robią pieniądze.

Mennica jest na ulicy Markowej na Pradze, w Warszawie.

Wyobrażałam sobie, że będą to wielkie zabudowania, z podniebnemi kominami fabrycznemi i dlatego o mało nie trafiłam do państwowej rektyfikacji spirytusu.

Najpierwej powiedziano mi, że można zwiedzić tylko muzeum, ze staremi monetami; skrzywiłam się. Jednak nie miałam racji. Umiejętnie ułożone i posegregowane monety umieją mówić bardzo przekonywująco i ciekawie, a gdzie ich mowa nie wystarcza, głos zabiera oprowadzający mnie po mennicy uprzejmy pan. Mówi on: »Dzieje mennictwa dadzą się podzielić na trzy zasadnicze okresy, stosownie do monety używanej w tym czasie: denarowy, groszowy i złotowy. Za czasów Piastowskich rolę centralnej mennicy odgrywała mennica gnieźnieńska, potem krakowska, za Zygmunta Augusta — wileńska...

Panowanie Augusta II-go — zanik mennic w Polsce.

Stany Rzeczypospolitej na sejmie konwokacyjnym powierzyły reformę mennictwa nowoobranemu królowi. Stanisław August Poniatowski założył mennicę w Warszawie w Pałacyku na ulicy Bielańskiej.

Z bronzowych i złotych monet powstaje historja Polski.

Upadek państwa. Mennica zamknięta.

Otwarta w 1815 r. wybija monety z napisami rosyjsko-polskiemi, potem rosyjskiemi.

Obok leżą pieniądze powstaniowe; na nich błagalna prośba, »Boże dopomóż Polsce«.

W 1867 r. zamknięto mennicę, do jej organizacji przystąpiono dopiero w 1923 r.

Tyle o historji pieniądza polskiego.

Ale to jeszcze nie wszystkie skarby zbiorów menniczych.

Na wyścielanych poduszkach leżą złote i srebrne medale pamiątkowe. Jeden z nich, duży, srebrny, wybity za Augusta III przez miasto Gdańsk na pamiątkę 300-nej rocznicy połączenia z Polską.

W następnej szafce złoty medal, z piękną podobizną króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, ofiarowany na pamiątkę jakiejś damie z francuskim napisem: „Donnée à sa Majesté princesse«...

Na środku pokoju stoi żelazna skrzynka-skarbiec, zamknięta na kłódki z sekretnym zamkiem pośrodku masywnego wieka. Tak oto nasi pradziadowie strzegli swych bogactw.

To wszystko jest przeszłość.

A jak teraz powstają srebrne dwuzłotówki, które tak łatwo wydawać, a trudno zarobić?!

Pierwsze stadjum roboty — stapianie kruszcu. Pali się ogień w paleniskach, podobnych do zniczów, których strzegą westalki na antycznych płaskorzeźbach. Z roztopionego metalu maszyna formuje srebrne sztaby grubości około 8 cm. Te sztaby w innej maszynie walcuje się na cieniuchne taśmy. Praca jest czysto mechaniczna, jeden robotnik wkłada sztabę, drugi wyciąga taśmę.

Następnie maszyna z długiej taśmy wycina krążki. Przypominają one srebrne guziki, któremi chętnie zdobimy suknie. Resztę metalu stapia się na sztabę i taśmę — i tak dalej. Okrągłe guziki obrabia naturalnie maszyna, wydrąża brzeg, a jeszcze inna maszyna wybija wzór.

I to już jest gotowy pieniądz.

Należy jeszcze monety policzyć — te tysiące, tysiące złotych...

Idziemy na pierwsze piętro. Pracują tu same kobiety. Na drewnianych stołach pełno srebrnych monet. Leżą sobie kupkami, jak gdyby nic, jakby naprawdę były nic nieznaczącemi blaszkami do zabawy. Siedząca kobieta precyzyjnym, prędkim ruchem bierze garść monet i wrzuca w przygotowany do tego karton z dziurkami. Wiadomo, że zmieści się w nim 10 dwuzłotówek. Porusza się w jej ręce tekturowa wycięta płaszczyzna, przelatują srebrzyste pieniądze prawie tak prędko, jak w automatycznej maszynie, która je wybija.

Przy innych stołach, sprawdza się gotowe już pieniądze, czy mają dobrą wagę. Za lekkie i za ciężkie automatycznie są odrzucane do specjalnych przegródek. Dalej jeszcze sprawdza się dźwięk monety, przyczem każdą uderza się o marmurowy blat, czy aby nie wyda fałszywego tonu.

Gdzieindziej znowu, sprawdza się pieniądze już dobrej wagi i niefałszywe. Każda moneta obrzucana jest doświadczonem spojrzeniem. Patrzę na zły odrzucony pieniądz i nic nie widzę.

Dlaczego pani go wysortowała?

Pośrodku jest mała rysa.

Wpatruję się dalej, nic nie widzę.

Miarowy stuk maszyn dochodzi z tłoczni. Padają z dźwiękiem przerzucane złotówki, tysiące, miljony pieniędzy. Któżby pomyślał, że nad ich wyrobem pracuje tylko około 100 osób.

Największą pracę wykonywują maszyny, ale cóżby one były warte bez czujnego oka człowieka, bez tego maleńkiego ruchu, którym ze swego przyrodzonego bezładu, mechanizm wprowadzony jest w ciągły i konieczny bieg.

Marzenna Saryusz-Stokowska

Odpowiedzi od redakcji

P. Morsztynowa. Prosimy o opracowanie jednej z sylwetek wymienionych autorów: Bąk, Goetel, Szczucka.

H. Babińska. Wiersz miły, ale nie na czasie. — Prosimy o dalszą współpracę.

J. Bilwinówna. Artykulik odpowiedni pójdzie w grudniu. Dział proponowany postaramy się wprowadzić, prosimy o współpracę w zbieraniu materjału. Adres A. z Pawłowskich Buszkowej jest nam nieznany.

T. Mroczkowski. Utwory tak prozą jak wierszem nie pójdą do naszego pisemka. Przy sposobności wedle życzenia wyjątkowo manuskrypty zwrócimy.

Jagienka z pod Lublina. Dostałyśmy wiersze — ich forma swobodna, zbliżona do dzisiejszej nowożytnej poezji odpowiada nam — „Czar Śniegu" umieścimy w grudniu. — „Teatr grecki" też doczeka się swej kolejki. Trzeci wiersz nadaje się raczej do pisma wyłącznie religijnego, jak n. p „Cześć Marji". — Prosimy o dalszą współpracę. —

„Wisława". Po wczytaniu się we wspomnienia o ś. p. Romanowiczównej, odkładamy je na styczeń, gdyż na tle powstania z 63 roku postać Jej jeszcze bardziej uwypukli się i zajaśnieje w oczach młodzieży naszej.

Basi i Beacie z Lublina dziękujemy za miły wywiad. — Prosimy gorąco o fotografję Dyrektora Rodziewicza z dedykacją dla naszego pisma. — Opis zwiedzania teatru liczymy, że też otrzymamy. — Życie artystów może być pełne idealizmu, pracy, wzniosłych dążeń, a powołane jednostki wznoszą i tam walory własne, wytwarzają dzieła wiekopomne, urabiające ludzkość.

„Podhalanka". Artykulik bardzo dobry, z dopuszczalnem skreśleniem pójdzie w grudniu. Stałą współpracę w dziale sportów wdzięcznie przyjmujemy. Czekamy reportaży z zawodów narciarskich. — Można śmiało zabrać się do pisania. Mile witam takie zdania jak: „Tatry i sport to dwa moje żywioły — Tatry, to moja ojczyzna, gdzie niestety nie mogę zamieszkać,

ale co roku tam jestem", albo słowa uznania dla redakcji: „Wszyscy u nas czytają Dziś i Jutro" Podoba nam się bardzo. Ojciec zachwycony. Dziękujemy Ojcu, że zachęcił córkę do pisania. Czy pisać często i dużo w gwarze ludowej? Rozstrzygnięcie tej kwestji zostawiamy dalszym badaniom.

J. Unkiewicz po zdaniu matury w gimn. S. S. Urszulanek w Lublinie, studjuje polonistykę na tamtejszym uniwersytecie.

Proszę nam szczerze wypowiadać swoje zdanie co do artykułów. Rzeczową krytykę chętnie przyjmujemy. Różany płatek przechowujemy wraz z pierwszym listem w archiwum.

Książki nadesłane.

Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie.

Mały Słownik Języka Polskiego. — Objaśnienia 19000 wyrazów — 6000 zwrotów i wyrażeń. Jest to skrót dobrze znanego dużego obszernego dzieła Illustrowanego Słownika Polskiego M. Arcta. — Skrót niniejszy będzie mile przywitany przez młodzież szkolną, znajdzie w nim bowiem bogactwa naszego języka. Ponadto najobszerniej jest uwzględniona frazeologia, co pomoże do poznania cech językowych.

Mały Słownik Wyrazów Obcych. — 16000 wyrazów. Jest to znów inny zbiór, pożyteczny dla młodzieży, samych tylko wyrazów obcych, używanych bardzo często w książkach, pismach i potocznej mowie.

Oba te słowniki przyczynią się niewątpliwie wielce do głębszego zaznajomienia się, a przez to przyswojenia sobie bogatej formy wyrażania się i wypisywania się ortograficznie i poprawnie.

Wydawnictwa **„Ostoja" Poznań, Pocztowa 15.** dla naszych pracowniczek społecznych — bogaty materjał na wieczornice w zespołach młodzieży pozaszkolnej.

Irgo: **„Przyjaciółka"**. Teatr dla młodzieży Żeńskiej nr. 43. Cena 0.90.

Treścią tej sztuczki jest wartość prawdziwej przyjaźni. Utwór napisany żywo i z dramatycznem zacięciem.

X. Franciszek Błotnicki: **„Idziemy w życie!"** Cena zł. 0·60.

Jest dawno upragniony zbiorek wierszy ideowych. Młodzież znajdzie w nich echo swych wewnętrznych dążeń i przeżyć. W wierszach tych, użytych jako deklamacje, powie swym niezorganizowanym towarzyszom, swym rodzicom, przyjaciołom i społeczeństwu wogóle — co tli na dnie serca zorganizowanej młodzieży.

Zofja Karczewska: **„W naszem gronie"**. Bibljoteka Wieczornicowa nr. 41. Cena zł. 1·30.

Wieczornica o charakterze propagandowo-organizacyjnym. Każdy punkt programu — wykład, śpiewy, deklamacje, obrazki — sceniczne ilustrują pracę w K. S. M. Ż.

K. Ż. K.: **Gazeciarka-apostołką** — Szkoła pracy K. S. M. Ż. nr. 1. Cena 1·20.

K. Ż. K.. — **Gazeciarz-apostołem.** nr. 6. Cena 1·20 zł.

W Katolickich Stowarzyszeniach Młodzieży Żeńskiej i Męskiej istnieje urząd gazeciarzy, których zadaniem jest rozpowszechnianie dobrej prasy, zwłaszcza organizacyjnej. Aby gazeciarzom ułatwić ich pracę propagandową, wydały centrale ogólno-krajowe wymienione wyżej broszury.

Ilustracja na okładce przedstawia Św. Anielę Merici, Założycielkę Urszulanek, która w drodze z Salò do Desenzano, miejsca swego rodzinnego — w miejscowości Brecdazzo ma widzenie.

„Na tajemniczej drabinie, sięgającej szczytem sklepienia niebieskiego ujrzała, postępujące procesjonalnie zastępy aniołów i dziewic. Każdej parze towarzyszyli aniołowie przyozdobieni klejnotami, wygrywający cudowne melodje. Równocześnie usłyszała słowa: „Anielo, nie umrzesz, póki nie założysz w Brescji Towarzystwa dziewic, podobnego temu".

Wierna temu poleceniu założyła w 1535 Towarzystwo dziewic, powołanych do nieprzerwalnego chwalenia Boga przez pełną poświęcenia służbę bliźnim.

TREŚĆ N-ru 3-go:

Roczniki »Dziś i Jutra« z dawnych lat są do nabycia w Redakcji: **Kraków, Starowiślna 11**

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 6 ZŁ.

Numer pojedynczy 0·60 zł.

Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.939

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

Zofja Zakrzewska.

Adres Redakcji; Kraków, ul. Starowiślna 11.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie